

Czy Kościół jest kobietą?



Adres do korespondencji:
Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.org

Wydawca:
Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:
Bartłomiej Wojnarowski – bartlomiej.
wojnarowski@adeste.org

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:
Piotr Bogdanowicz – piotr.bogdanowicz@
adeste.org

**Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmono-
gramów i planowania:**
Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:
Krzysztof Działlik – krzysztof.dziallik@adeste.
org

Redaguje zespół w składzie:
Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięczni-
ka), Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i
społeczeństwo), Konrad Myszkowski (kierow-
nik portalu adeste.org), Antonio Akmadża, Jan
Borowski, Jan Buczyński, Marceli Hejwowski,
Piotr Ulrich, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Współpracownicy:
Mateusz Bednarek, Natalia Cywińska, Wojciech
Gałek, Maciej Kapek ks. Mateusz Kopa, Piotr
Krajski, Krzysztof J. Namysłak, Dawid Pindel,
Tymoteusz Pyda, Joanna Smarzyńska, Dorota
Ślęczek, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Jakub
Urbaniak, Krzysztof Wojtyra,

Kadra techniczna:

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:
Maria Ulman

**Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub
oraz główny webmaster adeste.org:**
Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:
Mateusz Kosson

Grafik miesięcznika:
Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:
Zofia Bryłka

Dział korekty:
Kinga Grodzka (kierownik działu korekty),
Dorota Białecka (zastępca kierownika działu
korekty), Mateusz Cich (korekta portalu),
Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas,
Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdale-
na Węglarz, Mikołaj Wolanin, Michał Żaczek,
Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i pro-
mocji) – promocja@adeste.org
Mateusz Bartkowicz, Zofia Bryłka, Tomasz
Leszczyński.

Konsultacja teologiczna:
Monika Adamska i Katarzyna Mich

Post-korekta:
Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

**A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wspar-
ciem technicznym, finansowym czy organiza-
cyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+**



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

Nie bójmy się kobiecości w Kościele

WIARA

Dlaczego kobiety nie mogą być księżmi w Kościele katolickim?

Olga Wachowicz

Miłość jest niekochana

Tymoteusz Pyda

Anielski orszak, hej!

Jan Buczyński

„Zbrodnia i kara” w prawie kanonicznym,

czyli o przestępstwach

Joanna Smarzyńska

Trzy Joanny d'Arc

Piotr Krajski

SPOŁECZEŃSTWO

Pornografia: przemysł i feminizm

Jan Borowski

Katolicki feminizm – oksymoron?

Laura Korzeniowska

La donna è mobile – Maria i Marta

Krzysztof Jan Wojtyra

Dla wiary nie ma starości

Konrad Myszkowski

WYWIAD

Mikołaj Dyźma – drogi młodego poety

Szymon Kozieja

KULTURA

„Widzę zamiast mężczyzn...”

Marceli Hejnowski

Nie lubię ideologii, nic na to nie poradzę

– wersja dla kobiet

Marcin Worek

Patron na dzisiejsze czasy

Dawid Pindel

Listy Pielgrzyma – wpis szósty

Tomasz Leszczyński

Gdy myślę o kobiecości w Kościele, odczuwam wdzięczność, ale i dyskomfort. Po pierwsze jestem wdzięczny, ponieważ to kobiety opowiedziały mi pierwsze o Bogu. Jak trzy Marie po zmartwychwstaniu. To w ich słowach odnalazłem zachwyt nad Prawdą. Nie mogę jednak uciec od pewnego uczucia dyskomfortu. Czuję niepewność, gdy słyszę o miejscu kobiety w Kościele. Jej roli i misji. Bo to wyrażenie zostało zawłaszczane przez publicystyczne dyskusje na temat tego, co może, a czego nie może kobieta w danym miejscu świątyni czy hierarchii Kościoła. Jakby Kościół był firmą marketingową, gdzie trzeba równoważyć rozwój zawodowy.

A w moim odczuciu już samo ułożenie duchowego kompasu w tym kierunku jest niewłaściwe. Kościół to nie jest tylko męska czy kobieca sprawa. To przede wszystkim Boża rzecz. Dlatego mężczyźni i kobiety mają takie miejsce w Kościele, które może pomagać w zbawieniu bliźnich oraz samego siebie. I to jest ostatecznie istotne.

We wspólnocie Kościoła nie chodzi o to, kto ma ile możliwości. Królestwo Niebieskie nie jest zdobywane poziomami dostępu do władzy, ale miłością. Dlatego dyskusja, co mogą, a czego nie mogą w Kościele kobiety pod względem sakramentów czy posług, jest dla mnie istotna w znaczeniu teologii. Nie trafia jednak w sedno powołania kobiety w Kościele.

A jest nim dawanie przestrzeni dla Boga. To ta sama misja, którą otrzymała Matka Boża. Dać światu Boga. Wskazać na Niego. Otoczyć opieką, troską i ciepłem Jego kruchość. Światu drżącemu w niepokoju przynieść nieco czułości. Takie spojrzenie jest według mnie bliższe naturze Kościoła, niż myślenie w kategoriach, tego, co kobieta może bądź czego nie może.

Warto w tej chwili pomyśleć o kobietach, które przyprowadziły nas do Boga. O matkach, przyjaciółkach, zakonnicach. Sądzę, że większość z nich nie marzy o funkcji diakonisy, specjalnym miejscu w świątyni lub dowartościowaniu ich przez honorowe funkcje. Kobiety wiary są jak Maryja – ich życiową koronacją, chlubą i misją jest to, by przyprowadzić do Jezusa Chrystusa jak najwięcej ludzi. Dać im nadzieję, otoczyć troską. To często ciche historie, bo miłość nie potrzebuje równościowych protestów, wielkich słów, lecz potrzeba jej prawdziwej bliskości.

Chciałbym, by właśnie ta optyka przeważała w naszych dyskusjach o kobietach i kobiecości w Kościele. Wtedy będzie ona bliższa spojrzeniu Maryi, najdoskonalszej z kobiet: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J 2, 5). Takiej kobiecości nie tylko nie musimy się bać. My jej potrzebujemy codziennie coraz więcej.

Tak proste, a jednocześnie trudne dla nas – kobiet i mężczyzn XXI wieku.



Z życzeniami dobrej lektury

Bartłomiej Wojnarowski, redaktor naczelny „Adeste”



źródło: unsplash.com



źródło:unsplash.com

Dlaczego kobiety nie mogą być księżmi w Kościele katolickim?

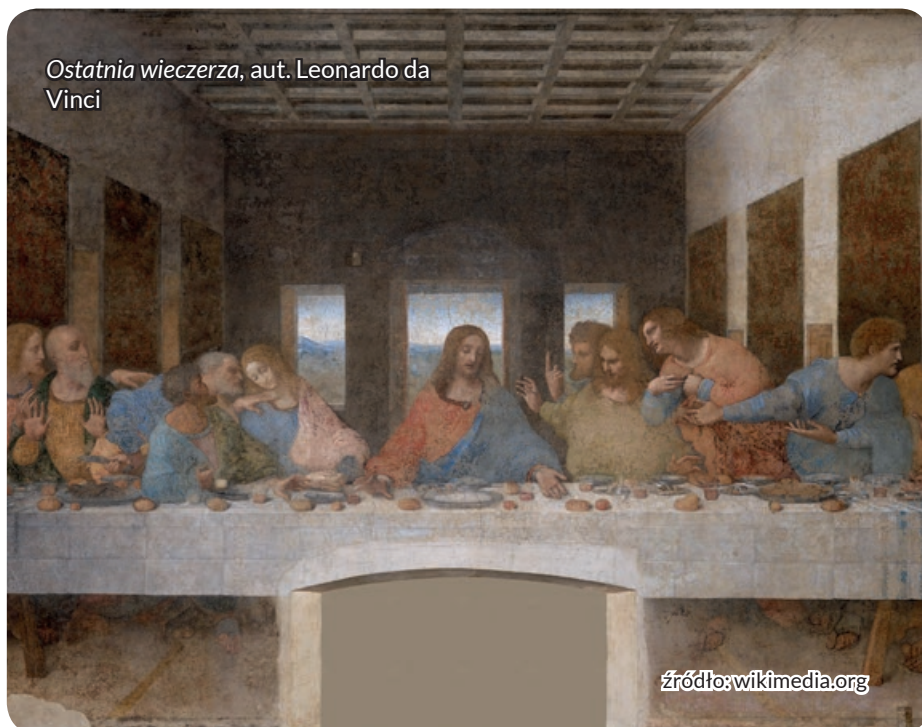


Olga Wachowiec

Trudno jest spojrzeć obiektywnie na czasy, w których żyjemy, i odsunąć na bok związane z nimi aktualnie przeżywane emocje. Jednocześnie można jednak zwrócić uwagę na pewne zmiany i tendencje, mody i trendy w postrzeganiu niektórych kwestii. Jednym z przykładów na to jest chęć zrewidowania pewnych ustalonych już zasad – szczególnie takich, które wyznaczają pewne granice lub nakładają restrykcje. W świecie wszechobecnej wolności takie ograniczenia kojarzą się wręcz z dyskryminacją i stają się czytelnym znakiem przemocy oraz poniżenia wobec „wykluczanych”. Czy kobiety są dyskryminowane w Kościele katolickim? Czy umniejszana jest ich rola, a przez to zaniżana ich wartość? Dlaczego kobiety nie mogą być kapłankami w Kościele katolickim?

Dyskusje na temat wyświęcania kobiet pojawiały się wielokrotnie. Liczba pytań i wątpliwości zapewne zwiększyła się, gdy w niektórych denominacjach protestanckich dopuszczono kobiety do sprawowania urzędów kościelnych. Wydana w 1976 r. z polecenia papieża Pawła VI deklaracja Kongregacji Nauki Wiary *Inter Insigniores* miała za zadanie podtrzymanie nauki Kościoła katolickiego dotyczącej nieudzielania kobietom święceń prezbiteratu i episkopatu. Wyszczególniono także konkretne argumenty przemawiające za tym rozwiązaniem. Papież Jan Paweł II w liście apostolskim *Mulieris Dignita-*

tem oraz w późniejszym liście *Ordinatio Sacerdotalis* podtrzymał to stanowisko. Odniósł się przy tym z ogromnym szacunkiem do kobiet, pisząc o ich godności i powołaniu. W międzyczasie wielu nie tylko księży, ale i wyższych dostojników kościelnych oraz teologów wypowiadało się na ten temat. Przekonanie o słuszności zakazu sprawowania funkcji kapłańskich przez kobiety we wszystkich tych przypadkach było i nadal jest oparte na trzech głównych argumentach.



Chrystus i pierwszych Dwunastu

Jednym z pierwszych argumentów stojących za niewyświęcaniem kobiet jest fakt, że Jezus wybrał na apostołów jedynie mężczyzn, chociaż mógł postąpić inaczej. W kontrargumentacji do tego stanowiska pojawia się informacja, że Jezus żył w określonym miejscu i czasie, a przez to też wśród osadzonych w pewnej tradycji i kulturze ludzi, którzy nie uznawali idei równości płci. Niemniej jednak możemy zauważyć, że Pan Jezus łamał pewne konwencje w kwestii traktowania kobiet. Nie poniżał ich, a wręcz przeciwnie – traktował je na równi z mężczyznami. Mimo tego żadna z nich nie znalazła się w gronie Dwunastu. Jan Paweł II w liście apostolskim *Ordinatio Sacerdotalis* napisał: „Powołując samych mężczyzn na swych Apostołów, Chrystus uczynił to w sposób całkowicie wolny i suwerenny. Uczynił to z taką samą wolnością, z jaką w całym swoim postępowaniu uwydatniał godność i powołanie kobiety, nie dostosowując się do panującego obyczaju i tradycji usankcjonowanej ówczesnym ustawodawstwem. Tak więc hipoteza, że powołał jako Apostołów mężczyzn, stosując się do mentalności swoich czasów, wcale nie odpowiada sposobowi działania Chrystusa”.

Apostołowie podtrzymali tę decyzję Jezusa i mimo iż sami byli otoczeni kobietami, zdecydowali się na dopuszczanie do posługi kapłańskiej wyłącznie mężczyzn. Biorąc z nich przykład, całe Magisterium Kościoła przez wieki postępowało zgodnie z tą decyzją, godząc się na udzielanie święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom.

Głowa i Oblubieniec Kościoła

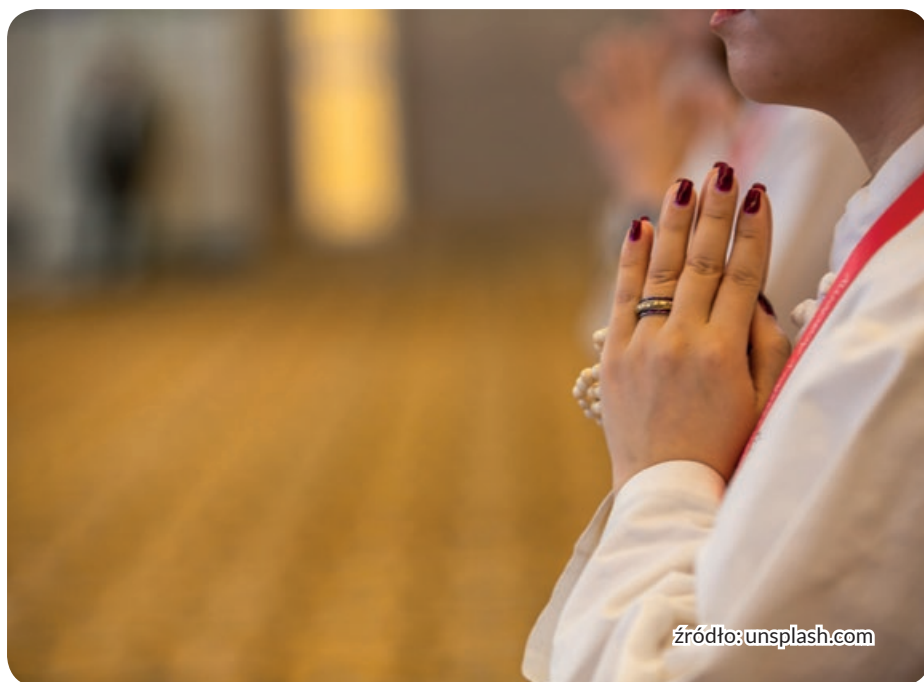
Kolejnym argumentem przemawiającym przeciw kapłaństwu kobiet jest symbolika związana z Jezusem. Kapłan ma być tym, który działa w osobie samego Chrystusa, szczególnie w czasie Eucharystii. Fakt, że to mężczyznom przypadła rola bycia księżmi, to oznaka spójności przyjętej przez Kościół symboliki, związanej z kapłanem jako tym, który poprzez naśladowanie Chrystusa reprezentuje Go jako

Głowę oraz Oblubieńca Kościoła. Nie umniejsza ona jednak roli kobiet w Kościele katolickim. Odpowiadając na pytania dziennikarzy w samolocie, w drodze powrotnej z USA do Rzymu, papież Franciszek przypomniał o tym, że kapłaństwo kobiet nie jest możliwe i zaznaczył, że „św. Jan Paweł II jasno to powiedział, nie dlatego, by kobiety nie miały do tego zdolności. W Kościele kobiety są ważniejsze niż mężczyźni. Kościół jest kobietą, małżonką Chrystusa, a Madonna jest ważniejsza od papieży, biskupów, księży” (*Papież o kapłaństwie kobiet, rozwodach i imigrantach* [w:] *deon.pl*).

Tradycja Kościoła i ostateczna decyzja?

W dokumencie *Inter Insigniores* czytamy: „Kościół katolicki nigdy nie uznawał możliwości otrzymywania przez kobiety święceń kapłańskich czy biskupich”. Argument ten bardzo mocno wiąże się z historią i tradycją Kościoła katolickiego, który jako wspólnota prowadzona przez Ducha Świętego zastrzega sobie nieomylność w kwestiach wiary i moralności. Ważna jest zatem również ciągłość teologicznej doktryny – skoro kapłaństwo kobiet przez wieki nie było dopuszczalne, także obecnie nie powinniśmy go przyjmować. Nie próbujmy jednak dopatrywać się w tym przejawów dyskryminacji kobiet. Dominikanin o. Paweł Krupa w rozmowie z Cezarym Łasiczką trafnie zauważa, że „wyobrażamy sobie, że równość to jest identyczność” (*Dlaczego kobieta nie może być katolickim księdzem? O. Krupa: Siostry kochane, niech zostawią was w spokoju* [w:] *tokfm.pl*). Role kobiet i mężczyzn znacząco różnią się od siebie, ale nie oznacza to, że któraś z nich jest lepsza lub gorsza.

Zakaz pełnienia posługi kapłańskiej przez kobiety zaczęto w Kościele katolickim uznawać ponieważ za dogmat. List apostolski *Inter Insigniores* papież Jan Paweł II zakończył bowiem następującymi słowami: „Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”. Wypowiedź ta ucina niejako wszelkie dyskusje na ten temat.



źródło: unsplash.com

Wątpliwości i kontrargumenty

Choć zasadność i logika wyżej wymienionych argumentów są niepodważalne, wśród głosów przemawiających za ordynacją kapłańską kobiet znajdziemy również pewne spostrzeżenia, na które warto zwrócić uwagę.

Jednym z głównych argumentów za kapłaństwem kobiet bywa fakt, że wszyscy – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – mamy

Poważna rozmowa aut. Ludvig
Johann Passini



źródło: wikimedia.org

tę samą godność dzieci Bożych, a przez to jesteśmy równi wobec Niego oraz siebie nawzajem. Chrzest święty włącza przecież nas wszystkich w powszechne kapłaństwo. Dlaczego więc samo wyświęcanie na księży miałoby pozostawać przywilejem tylko jednej płci?

Dodatkowym argumentem jest fakt, że choć to faktycznie kapłan-mężczyzna wstępuje w rolę Chrystusa podczas sprawowania Eucharystii, w niemal identyczny sposób przyjmuje ją matka (czy też pielęgniarka), w wyjątkowych sytuacjach chrzcząca nowo narodzone dziecko, czy też narzeczona udzielająca ślubu przyszłemu mężowi. Te kobiety również występują w imieniu Jezusa, jednocześnie Go reprezentując.

Wierność nauce Kościoła

Czy kiedykolwiek kobiety będą miały szansę na to, by zostać wyświęconymi na księży? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Pragnę jednak wierzyć w to, że to Duch Święty prowadzi Kościół właściwą drogą, dlatego też chcę pozostać mu wierną, niezależnie od dotychczas podjętych w tej sprawie decyzji.

Jednocześnie warto też pamiętać o tym, że każdy człowiek ma wyznaczone przez Pana Boga osobiste powołanie do posługi w Kościele. Rola kobiet w jego wspólnotach jest bardzo istotna, czemu trudno zaprzeczyć. Dyskusje na jej temat pojawiają się już od kilkudziesięciu lat i mogą doprowadzić do wielu pozytywnych zmian. W kilku kolejnych numerach miesięcznika „Adeste” będziemy wspólnie przypatrywać się konkretnym aspektom związanym z żywą obecnością kobiet w Kościele. Przyjrzymy się konkretnym rolom, które nam, kobietom, zostały przypisane, oraz dyskusjom toczącym się na ich temat.

A w razie jakichkolwiek wątpliwości co do wpływu płci pięknej na Kościół – warto pamiętać, że Pan Jezus był posłuszny nie tylko Ojcu w Niebie, ale i swojej Matce na ziemi.



źródło: pixabay.com

Miłość jest niekochana



Tymoteusz Pyda

O miłości powstało wiele tekstów, wiele piosenek wyraża zachwyt nad relacją mężczyzny i kobiety, także współczesny biznes mocno eksploatuje pojęcie kochania do pomnażania własnych zysków. Tylko czym tak naprawdę jest miłość?

Święty Jan napisał: „Bóg jest miłością” (1J 4, 8). Mógłbym na tym zdaniu zakończyć ten krótki artykuł, a te trzy słowa oddałyby w pełni ideał miłości. Bóg, który jest samowystarczalny i nie ma żadnych potrzeb, stwarza świat, rośliny, zwierzęta, a na końcu człowieka, właśnie z miłości. To pragnienie dobra dla potomków Adama i Ewy napędza całą historię Noego, Abrahama, Izaaka i Jakuba. To dlatego Stwórca nieustannie wysyła proroków do Ludu Wybranego, aby pouczając krnąbrnych nieraz ludzi, mogli także utwierdzić ich w miłości, jaką On ich darzy. W końcu nadejście obiecanego Zbawiciela poprzez Jego wcielenie, narodzenie, nauczanie i męczeńską śmierć oraz zmartwychwstanie pokazuje, jak bardzo Pan miłuje swoje ziemskie dzieci – tak, że chce z nimi współdzielić naszą naturę i przez to dać nadzieję na jej przeobrócenie kiedyś na końcu czasów (a małymi krokami także już teraz, w doczesności).

Myślę, że większość z tych faktów jest czytelnikom doskonale znana, są to podstawy katechizmowe, których zaliczenie jest potrzebne w okolicach II-III klasy podstawówki, aby móc przystąpić do

Pierwszej Komunii Świętej. Jednakże czy naprawdę zdajemy sobie sprawę z doniosłości Bożej miłości? Przecież może ona czynić prawdziwe cuda, zmieniać serca zatwardziałe, kamienne, w serca pełne radości, dobra i pokoju. Każdego dnia spotykamy ludzi, którzy przeniknięci Obecnością potrafią wybaczyć drugiemu, ofiarować swój czas i siły, iść odważnie i głosić Dobrą Nowinę, jeśli trzeba, używając słów. Widzą w innych Chrystusa, bo patrzą na nich Jego oczami.

Miłość różna jest...

Bardzo często spotykam się z osądzaniem danej intymności jako nieprawdziwej czy niegodnej miana miłości. Niestety, zbyt często czynią to osoby deklarujące się jako zaangażowani, wierzący katolicy, którzy dekretują miłość dopełnieniem pewnego rytuału, czy kierując się przepisami prawa. Bo czy możemy nazwać miłością obecnie wcale nie tak rzadką sytuację, gdy dwoje ludzi, deklarując tę bliskość przez lata, żyje na tzw. „kocią łapę”? Albo jak nazwać relację łączącą dwoje osób tej samej płci? Czy to nie może być miłość?

Już od czasów najdawniejszych, a mianowicie starożytnej Grecji, ludzie zadają sobie to pytanie. Najwcześniejsze odpowiedzi wprowadzają podział na:

storge – miłość przyjacielska, gdzie najważniejsza jest zrównoważona intymność, bardziej łączność umysłów, niż fizyczności

eros – czyli miłość romantyczna, gdzie równie istotne jest zaspokojenie potrzeb seksualnych, jak i duchowa więź

ludens – miłość polegająca na zabawie; tylko to, co przyjemne, jest ważne, nieistotny jest konkretny partner, ale generalnie partner do rozrywki

agape – miłość bezinteresowna, chęć oddania się drugiemu, poświęcenia własnego dobra i duża ofiarność; szczęście partnera jest ważniejsze niż własne zaspokojenie; często pozostaje tylko w sferze duchowej.

Większość zapewne domyśli się, jaki rodzaj miłości chrześcijaństwo szczególnie przyjęło i zaczęło propagować. Agape to rodzaj miłości Oblubieńca-Chrystusa do Oblubienicy-Kościła. Uczty pierwszych gmin chrześcijańskich, które następowały po Eucharystii, nazywano właśnie agapami, ucztami miłości, by zaakcentować, że takie postępowanie jest możliwe zawsze i wszędzie oraz winno być bardziej regułą niż wyjątkiem w złożonym życiu człowieka. Kolejni myśliciele chrześcijańscy, którzy



podejmują ten temat, to choćby św. Augustyn i jego słynna maksyma „kochaj i rób, co chcesz”, następnie św. Tomasz z Akwinu, który uważa, że istotą miłości jest bardziej miłowanie niż bycie miłowanym. Św. Bernard z Clairvaux mówi o zjednoczeniu woli, czyli o pragnieniu tego, czego chce i czego nie chce Chrystus. Na końcu warto wspomnieć o polskiej świętej, siostrze Faustynie, która większość życia poświęciła na ukazywanie ludziom miłosiernego aspektu Pana Boga oraz podkreślała, że miłość to nie tylko uczucia i słowa, ale przede wszystkim decyzje i czyny.

Odejdźcie od Boga odejściem od siebie?

Myszę, że w tym miejscu istotne jest zadanie pytania, czy można być w pełni sobą bez miłości. W moim odczuciu nie. Bo chociaż widzimy potężne pustynie, na których rosną czasami liczne kaktusy i inne sukulentki, to dopiero po tym, jak (wyjątkowo) spadnie deszcz, możemy zauważyć pełną feerię barw i nagły „wybuch” życia. Podobnie jest z człowiekiem. Chociaż można sobie wyobrazić sytuację, gdy człowiek przechodzi przez swoje życie, nie doświadczając zbyt wiele miłości, to każdy ekspert od psychologii powie, iż taka osoba może mieć ogromne problemy z samooceną, nawiązywaniem relacji, zaburzeniami odżywiania, a w efekcie także problem z duchowością. O wiele trudniej jest stworzyć relację z Panem Bogiem, jeśli nie mamy dobrego doświadczenia ojca w rodzinie. Wydaje się niemożliwe przyjęcie słowa o nieograniczonej miłości Bożej, jeśli najpierw jej nie doświadczyliśmy od bliźnich w swoim kawałku świata. Bo tak, jak nie da się kochać niewidzialnego Boga, nienawidząc widzialnego brata, tak samo trudno jest przyjąć i zaakceptować bezwarunkowe miłosierdzie Stwórcy, gdy nie mamy jego przedsmaku w relacjach ziemskich.

Warto pamiętać, że człowiek w sposób naturalny jest powołany do miłości, która jest samym centrum Trójcy Świętej. Ojciec miłuje Syna, Syn miłuje Ojca, a Duch Święty jest wyrazem tej niezwykłej więzi. To ten sam Duch, który był już u samego początku świata, gdy unosił się nad wodami, ten sam, który mówił przez proroków i ten, który podniósł z martwych Jezusa, może przyjść do nas i uzdolnić nas do ponadnaturalnej miłości. Dlatego nie warto się przejmować własnymi słabościami oraz brakami, każdy je w sobie nosi. Tylko pozornie odrzucenie wiary daje nam swobodę. Czasami staje się częścią

podróży i odkrycia naszego ostatecznego celu. Ale odrzucenie Pana Jezusa to tak naprawdę odrzucenie miłości. Tylko przyłgnięcie do Boga pozwala odnaleźć się w pełni własnego ja, odkryć to, kim naprawdę jesteśmy. Odrzucić codzienne maski i móc w wolności realizować się w doczesności, oczekując szczęśliwej wieczności.





źródło:unsplash.com

Anielski orszak, hej!



Jan Buczyński

„Pogrzeb kojarzy nam się ze łzami, smutkiem i żałobą. A gdyby dodać do tego nadzieję na życie wieczne i radość ze zmartwychwstania?” – napisał o. Remigiusz Reclaw SJ po pewnym pogrzebie, którego nagranie obejrzało w serwisie YouTube przeszło 22 000 osób, i który to stał się powodem do dyskusji na temat charakteru współczesnej liturgii pogrzebowej. Paradoksalnie, chcąc odpowiedzieć na powyższe pytanie, dojdziemy do wniosku, że gdyby do łez, smutku i żałoby dodać nadzieję na życie wieczne i radość paschalną, to... otrzymamy po prostu zwyczajny pogrzeb katolicki, którego nie potrzeba na siłę udziwniać autorskimi dodatkami i radosnymi płasami z machaniem kolorowymi flagami.

Na wstępie muszę przyznać, że czuję się trochę niezręcznie, odnosząc się w tym artykule do konkretnego pogrzebu (śp. Piotra Tomaszewskiego, związanego ze wspólnotą charyzmatyczną Mocni w Duchu przy kościele jezuitów w Łodzi), ponieważ nie chciałbym, żeby ktokolwiek odebrał poniższy tekst jako wyraz braku szacunku dla zmarłego. Wręcz przeciwnie, ponieważ choćby pobieżne zaznajomienie się z postacią zmarłego sprawia, że nie można o śp. Piotrze myśleć bez wyrazów uznania i bez dziękczynienia Bogu za jego życie. Przywołana celebracja to jednak nagromadzenie wielu nadużyć i wprost podręcznikowy przykład realizacji pewnego, coraz bardziej popularnego sposobu myślenia o pogrzebie, który nie jest jednak w pełni zgodny z teologią Kościoła katolickiego.

Liturgia – człowiek – serce

To, że msza święta sprawowana w kościele łódzkich jezuitów z udziałem grupy muzycznej Mocni w Duchu jest zwykle, nazwijmy to, urozmaicona – wiadomo nie od dziś. Sama wspólnota działa od dawna jako „zespół ewangelizacyjny”, którego członkowie formują się w duchowości ignacjańskiej, prowadzą rekolekcje, koncerty uwielbieniowe, warsztaty muzyczne i taneczne oraz konferencje. Szeroko komentowana w internecie i wzbudzająca duże kontrowersje była celebracja Wigilii Paschalnej sprzed kilku lat, dzięki której grupa Mocni w Duchu i łódzcy jezuici zastąpili jako środowisko wprowadzające do liturgii nowe elementy (przede wszystkim taniec z machaniem dużymi flagami), własne śpiewy, zmianę niektórych tekstów mszalnych.

Nie można zarzucić liderom ani duszpasterzom Mocnych w Duchu braku wiary, autentyczności, zaangażowania ewangelizacyjnego, pewnego zapału i świeżości w dawaniu świadectwa o Bogu czy też braku życia słowem Bożym – dlatego w krytyce ich eksperymentów liturgicznych nie należy wykazywać postawy niechrześcijańskiej, a więc obrażania, inwektyw, przesadzonej „gorliwości o dom, która pożera”. Czy w modlitwie, również liturgicznej, nie liczy się przede wszystkim postawa serca? Oczywiście. Czy liturgia nie jest, wbrew niektórym twierdzeniom, przede wszystkim dla człowieka, a nie dla Boga? Tak jest. Czy, oceniając czyjeś postępowanie, nie powinniśmy patrzeć na całokształt, odrzucając przy tym nadmierny rygoryzm i surowość zasad, a zwracając większą uwagę na potrzeby ducha? Tak, to prawda.

Wierność prawu Kościoła

To wszystko jednak nigdy nie uprawnia do nieposłuszeństwa Kościołowi, jakim jest łamanie przepisów liturgicznych. One nie istnieją dla satysfakcji tzw. liturgistów-terrorystów, członków jakiejś „policji liturgicznej” wchodzących do świątyni jedynie w celu śledzenia uchybień wokół ołtarza – ale wynikają z określonej teologii, będącej zwykle wynikiem długiego namysłu, ciągłości wielowiekowej tradycji, splotu różnych symboli, i wreszcie: są one wyrazem naszej wiary (*lex orandi lex credendi*, tak się modlimy, jak wierzymy). Nikomu, nawet kapłanowi, nie wolno w liturgii nic zmieniać ani nic od siebie dodawać (chyba że w sposób określony przez prawo kościelne). Posłuszeństwo w tym zakresie



źródło: unsplash.com

to godna pochwały postawa pokornego sługi, a nie właściciela liturgii (może lepiej powiedzieć – reżysera), zaufania Kościołowi nawet wówczas, gdy wydaje nam się, że z jakichś względów lepiej byłoby zrobić coś inaczej, „po swojemu”.

Podczas przywołanego pogrzebu można było zauważyć kilka nadużyć, jak choćby śpiew do Ducha Świętego na wejście, akompaniament fortepianu zamiast organów, długa przemowa o zmarłym wygłoszona podczas homilii przez osobę świecką, improwizowana modlitwa powszechna, śpiew *Ojcze nasz* na niezatwierdzonej melodii, okadzanie urny z prochami zmarłego. Najbardziej rzucającym się w oczy nadużyciem był oczywiście śpiew radosnej piosenki, połączony z machaniem flagami i radosną muzyką.



źródło: unsplash.com

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że dla samowolki liturgicznej nie jest usprawiedliwieniem tzw. wola zmarłego. Prośby o np. ulubioną piosenkę lub inny utwór muzyczny (nawet jeśli jest religijny) można spełnić na spotkaniu wspomnieniowym, ewentualnie na cmentarzu po zakończonych obrzędach pogrzebowych. W polskich realiach mamy od dawna do czynienia z różnymi nadużyciami liturgicznymi (przede wszystkim w zakresie muzyki wykonywanej w kościele), choćby na mszach z udziałem dzieci lub tych połączonych z sakramentem małżeństwa. Jednak pogrzeby były raczej traktowane jako wolne od takich oryginalnych i „charyzmatycznych” (uczuciowych, emocjonalnych) pomysłów.

Śmierć – żałoba – nadzieja

Komentując film z pogrzebem w Łodzi, o. Remigiusz Reclaw SJ napisał: „taki powinien być każdy pogrzeb, pełen radości” – otóż w tym stwierdzeniu widać zasadniczy błąd. Tak nie powinien wyglądać żaden pogrzeb, bo pogrzeb chrześcijański (katolicki) to nie jest miejsce i czas, w których powinna dominować radość. Naturalną reakcją na czyjąś śmierć jest smutek, żałoba, łzy – im bliższa jest dla nas zmarła osoba, tym silniejsze mogą być te emocje. Chrześcijańskie zwyczaje pogrzebowe zawsze odpowiadały na zdrową potrzebę wyrażenia takich uczuć – jedynie tym różniąc się od postaw niechrześci-

jańskich, że odrzucały rozpacz, beznadzieję, dając w zamian nadzieję, która wynika z Paschy Chrystusa i wiary w życie wieczne oraz zmartwychwstanie ciała w dniu ostatecznym.

Owszem, w niektórych elementach wschodnich tradycji liturgicznych pogrzebu do dzisiaj istnieją oznaki pewnej radości związanej z przejściem zmarłego do lepszego życia, opuszczenia tego padołu łez (np. w rycie wschodniosyryjskim ma to miejsce podczas rytualnego obmycia ciała), ale zasadniczo – i tak zawsze miało to miejsce w tradycji zachodniej – nigdzie nie spotykamy radości jako istotnego elementu pogrzebu. Jeśli szukać najbardziej odpowiedniej postawy, jaką powinien przyjąć chrześcijanin wobec zmarłej osoby – to będzie nią nie radość, lecz nadzieja.

Oczywiście, im bardziej życie zmarłego było prawe, uczciwe, pobożne, tym bardziej nadzieja na życie wieczne wśród zbawionych jest większa – jednak nigdy nie przekroczy ona granicy pewności o nagrodzie nieba, zawsze będzie do niej tylko zbliżona. Od czasów starożytnych takie przekonanie żywno wobec męczenników – ale nawet w ich przypadku zanoszono modlitwy o zaliczenie ich męczeńskiej śmierci jako skrócenie drogi do nieba. Według nauki Kościoła pewność o czymś zbawieniu mamy dopiero w kontekście publicznego ogłoszenia świętości – ale i tak proces beatyfikacyjny rozpoczyna się przynajmniej kilka lat po śmierci, a nie już w trakcie pogrzebu. Przypominając sobie pogrzeby wielkich postaci w ostatnich dekadach – choćby św. Jana Pawła II, bł. Matki Teresy z Kalkuty czy wcześniej sługi Bożego Stefana Kardynała Wyszyńskiego – dostrzegamy, że choć już wtedy większość wiernych była przeświadczona o ich świętości, to wymieniając trzy dominujące wówczas uczucia, trzeba zaznaczyć, że były to smutek, dziękczynienie oraz nadzieja. Radość, a już na pewno tańce na pogrzebie, nikomu nie przychodziła do głowy (wspomnijmy, że np. przy okazji pogrzebu Jana Pawła II niektórzy Polacy byli skonsternowani oklaskami Włochów, które w tamtejszej kulturze oznaczają po prostu co innego).



Samosąd zamiast Sądu

Radosny charakter pogrzebu de facto kwestionuje naukę o czyśćcu, ponieważ w zewnętrznej formie narzuca przekonanie o zbawieniu zmarłego. To rodzaj swoistego samosądu dokonywanego na podstawie wrażeń ludzi, ich doświadczeń – wierni wychodzą ze swej roli świadków, jakimi powinni być wobec zmarłego, a stają się jego sędziami, wchodząc w kompetencje jedynego Sędziego.

Owszem, *Instrukcja liturgiczno-duszpasterska Episkopatu Polski o pogrzebie i modlitwach za zmarłych*

wskazuje, że pieśni używane na pogrzebie „powinny wyrażać w treści i melodii nadzieję i wiarę w zmartwychwstanie” (nr 4) – ale z pewnością śpiewanie tanecznej piosenki *Jezus zwyciężył* jest w tym przypadku nadużyciem (tak jak w ogóle śpiew pieśni wielkanocnych na pogrzebach). Pismo Święte przypomina: „Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: [jest]

czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów” (Koh 3, 1.4). Jestem sobie w stanie wyobrazić okoliczności spotkania rodziny lub znajomych zmarłego, które w pewnym momencie doprowadzą do radosnego wspominania jego życia, jakiejś formy braterskiej agapy, tym bardziej, gdyby taką wolę wyraził za życia ten człowiek. Jednak święta liturgia to nie ten czas i nie to miejsce.

Św. Paweł Apostoł pozostawił wskazanie: „Zawsze się radujcie” (1 Tes 5, 16) – jednak chrześcijańska radość ma różne oblicza – nie oznacza wesołkowatości, może być radością cichą, spokojną, zakorzenioną w ufności, nadziei i oczekiwaniu. Zakończenie czyjejś ziemskiej pielgrzymki i wypełnienie uczynku miłosierdzia co do ciała zmarłego nie powinny być przepełnione poczuciem pustki, bezgranicznego smutku i braku nadziei, jednak radość z blasku czyjegoś zbawienia nie powinna nam towarzyszyć wcześniej, niż gdy przyjdzie na nią – oby! – czas.

a⁺

źródło: unsplash.com



„Zbrodnia i kara” w prawie kanonicznym, czyli o przestępstwach



Joanna Smarzyńska

Nieraz słyszeliśmy o ekskomunie czy suspensach, ale chyba niewielu z nas zastanawiało się nad ich istotą. Nieznacznym procentem też pewnie wie, że prawo kanoniczne operuje takimi pojęciami jak np. przestępca. Dziś zatem nieco o tym, czyli o przestępstwach kanonicznych i związanych z nimi sankcjach. Nieco, bo temat jest szalenie złożony i nie sposób ująć go kompleksowo w jednym artykule.

Czy każdy grzech jest przestępstwem? Odpowiedź brzmi: nie. A to dlatego, że do zaistnienia przestępstwa potrzebny jest akt prawny, ściślej – przepis dokładnie określający, jaki czyn stanowi przestępstwo. *Kodeks prawa kanonicznego* określa, jakie stałe elementy są wymagane do jego zaistnienia. Czyn musi być społecznie szkodliwy. Co więcej, oprócz zewnętrznego przekroczenia ustawy, istotne jest także psychiczne nastawienie sprawcy, tj. poczytalność moralna w postaci grzechu ciężkiego oraz wina – kwestie związane z dobrowolnością i świadomością popełnienia czynu. Przykładem niech będzie tu znieważenie postaci eucharystycznych. Mimo że zostało wymienione w kanonie jako przestępstwo, w danej sytuacji, gdy zabraknie świadomości jego popełnienia, może być jedynie grzechem. Kanon 1321 §1 i 1399 wskazują, że naruszenie zasad lub nakazu musi zawierać czynnik zewnętrzny.

Tak więc już widzimy, że jest to pojęcie węższe od pojęcia grzechu. Co ważne, konieczna jest także m.in. świadomość naruszania praw i zarazem wolna wola przy zdecydowaniu się na popełnienie czynu bezprawnego i społecznie szkodliwego. Dokładna definicja przestępstwa znajduje się w kan. 1321 *Kodeksu prawa kanonicznego*. Nie ma w prawie kanonicznym takiego tworu jak odrębny kodeks karny.

Czy można zostać „kanonicznym przestępcą” przez przypadek?

Zasadą jest, że karze się sprawcę wtedy, gdy występuje u niego wina umyślna. Chodzi o to, że sprawca musi mieć złą wolę i świadomie naruszyć prawo. (por. Syryjczyk J., *Pojęcie przestępstwa w świetle Kodeksu Prawa Kanonicznego Jana Pawła II*, „Prawo Kanoniczne: kwartalnik prawno-historyczny” 28/1-2, s. 85-96, 1985). Są jednak przypadki, w których można odpowiadać za przestępstwo popełnione nieumyślnie, ale to tylko wtedy, gdy kanon wyraźnie tak wskazuje.

Kogo ukarać nie można

Na przykład osoby, która w chwili przekroczenia nakazu lub ustawy nie ukończyła szesnastego. roku życia. Myślę, że jest to o tyle zaskakujące, że według kodeksu teoretycznie zawrzeć małżeństwo mogłaby kobieta nawet w wieku czternastu lat. Kary nie będzie można także wymierzyć komuś, kto działał w obronie własnej lub osobie działającej pod wpływem przymusu fizycznego. Pełne wyliczenie znajdziemy w kan. 1323.



Jakie kary można ponieść?

Na to pytanie odpowiedź znajdziemy w kan. 1312. Sankcjami karnymi są kary poprawcze, czyli inaczej cenzury, oraz kary ekspiacyjne z kan. 1336, o czym szerzej za chwilę. Kodeks nie wymienia tu wszystkich możliwych do wymierzenia kar, a to dlatego, że inne kary ekspiacyjne można ustanowić za pomocą ustawy. Pod warunkiem, że będą to takie kary, które pozbawiają wiernego jakiegoś dobra duchowego lub doczesnego i odpowiadają nadprzyrodzonemu celowi Kościoła. W kodeksie wymienia się także jako osobną kategorię środki karne i pokuty. Nie są one



jednak karami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Te pierwsze służą raczej zapobieganiu przestępstwom, a pokuta – zastępowaniu kary lub jej zwiększeniu. Do cenzur zaliczamy ekskomunikę, interdykt i suspensę, z czego suspensa dotyczy wyłącznie duchownych.

Kary poprawcze, czyli ekskomunika i suspensa – na czym polegają?

Osoba, która zaciągnęła karę ekskomuniki, pozbawiona jest prawa do uczestnictwa w życiu religijnym, w tym do przyjmowania sakramentów. W przypadku suspensy, inaczej zawieszenia, ksiądz może przyjmować sakramenty, nie może jednak, lub może w ograniczonym zakresie, wykonywać czynności wynikających z władzy święceń i pełnionych przez nich funkcji. Co ciekawe, kan. 1335

wskazuje na szczególne przypadki, kiedy skutki cenzury czy suspensy zostaną wyłączone. I tak na przykład w przypadku cenzury, jeśli kara zabrania przyjmowania sakramentów lub sakramentaliów, zakaz ten ulegnie zawieszeniu, jak długo winny znajduje się w niebezpieczeństwie śmierci.

Kary ekspiacyjne

Mogą obowiązywać na stałe albo na czas określony lub nieokreślony. Kodeks w kan. 1336 wskazuje przykładowe z nich. Może to być np. przeniesienie na inny urząd, wydalenie ze stanu duchownego, pozbawienie władzy czy nakaz lub zakaz przebywania na określonym terytorium.

Przestępstwa

Są przestępstwa, za popełnienie których karę zaciąga się automatycznie. Chodzi tu o ekskomunikę z mocy samego prawa (łac. *latae sententiae*) zastrzeżonej Stolicy Apostolskiej. Taką karę zaciągają na

siebie np. heretycy, osoby, które bez święceń kapłańskich usiłują sprawować liturgiczną czynność ofiary eucharystycznej czy osoby profanujące postacie eucharystyczne. Ale są też i takie przestępstwa, za które wymierzenie kary wymaga interwencji ze strony odpowiedniej władzy. Przykładowo dotyczy to duchownych lub zakonników uprawiających handel lub przeprowadzających transakcje wbrew przepisom kanonów. Kodeks wskazuje, że powinni być ukarani stosownie do ciężkości przestępstwa. Kanon 1364 i kolejne wymieniają poszczególne rodzaje przestępstw, dzieląc je na: „przestępstwa przeciwko religii i jedności Ko-

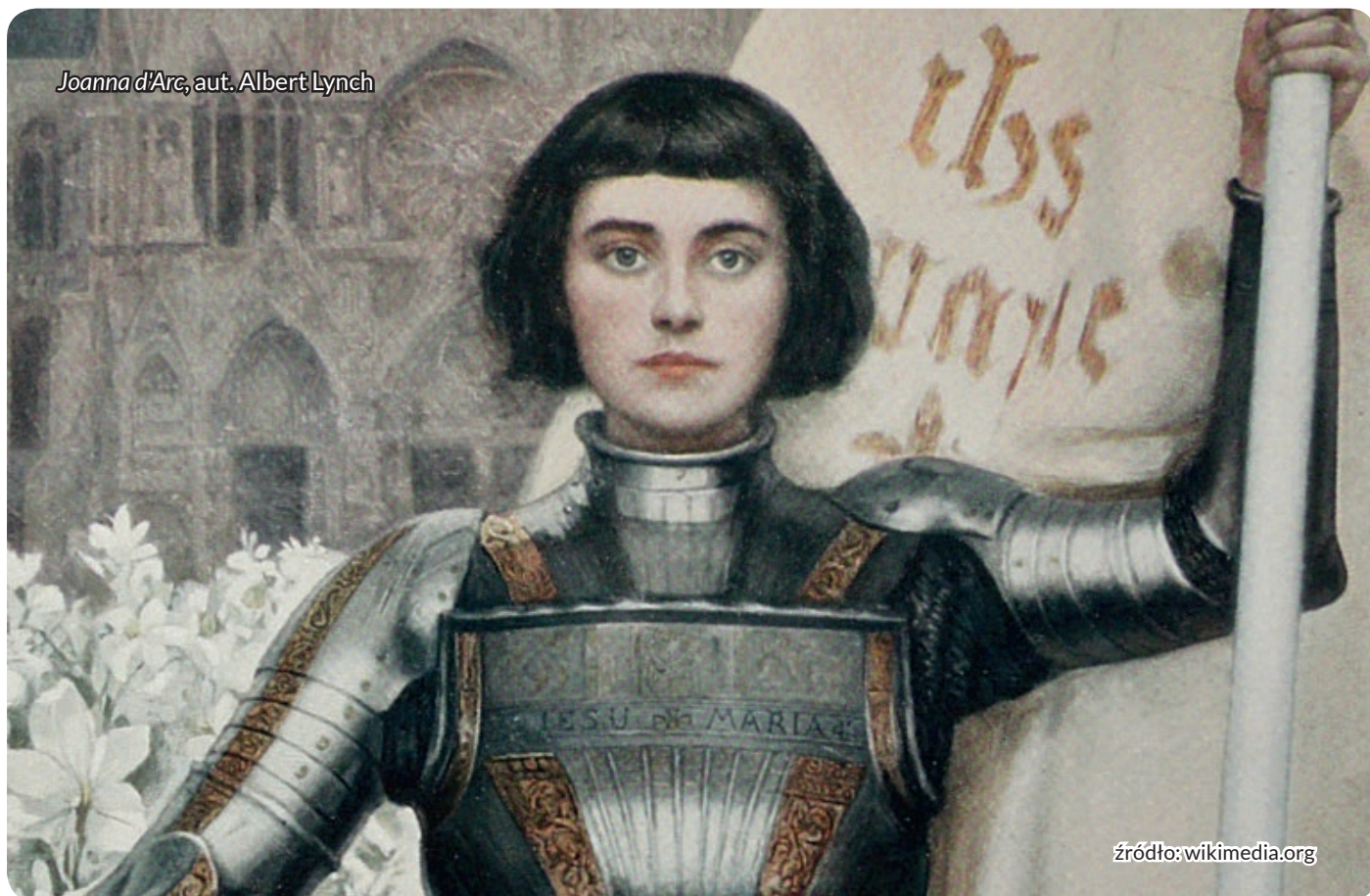


ścioła, przestępstwa przeciwko władzy kościelnej i wolności Kościoła, uzurpacje kościelnych zadań oraz przestępstw w ich wykonywaniu, przestępstwa fałszu, przestępstwa przeciwko szczególnym obowiązkom oraz przestępstwa przeciwko życiu i wolności człowieka”. Jednak, jak już wspomniałam, nie tylko duchowni narażeni są na poniesienie kary z kodeksu prawa kanonicznego. Przestępstwami, które dotyczą także świeckich, będą chociażby profanowanie miejsc kultu, zaniedbanie obowiązku katolickiego wychowania własnych dzieci czy... zamach na papieża.

Po co to wszystko?

Jak widać, temat jest niezwykle złożony. Co więcej, nie dotyczy on wyłącznie duchownych, ale też nas, świeckich. Może zaskakiwać, że Kościół ma nad nami także taką władzę i może np. zobowiązać nas do publicznej pokuty. Czy nie jest to nadmierną ingerencją w nasze prawa? Raczej nie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że kary te mają wspomagać nas w drodze do zbawienia. Dodatkowo te, które nie są zaciągane z mocy prawa, powinny być nakładane dopiero po upomnieniu czy wynikającej z troski nagany. Zainteresowanych tematem odsyłam do przepisów *Kodeksu prawa kanonicznego*.

Joanna d'Arc, aut. Albert Lynch



źródło: wikimedia.org

Trzy Joanny d'Arc



Piotr Krajski

Podczas audycji generalnej 26 stycznia 2011 roku Benedykt XVI mówił o dwóch najbardziej charakterystycznych kobietach, które pod koniec średniowiecza „bez lęku rozjaśniały światłem Ewangelii złożone wydarzenia dziejowe” (za: opoka.org.pl). Papież porównał je do świętych kobiet z Kalwarii, które trwały przy ukrzyżowanym Jezusie i Maryi. Jedną z postaci, o których mówił, była Katarzyna ze Sieny, drugą Joanna d'Arc. To właśnie ta święta stała się ikoną kultury, obecną w wielu dziełach sztuki. Jej historią zainteresowali się także filmowcy. W jaki sposób ukazali oni Dziewicę Orleańską?

Rys historyczny

Warto przedstawić kilka faktów z życia świętej. Joanna d'Arc urodziła się w 1412 roku w rodzinie chłopskiej w małej wiosce Domremy w Lotaryngii. Bulla beatyfikacyjna określiła jej życie „jednym cudem” (Benedykt XVI, św. *Joanna d'Arc*, Audycja Generalna 26 stycznia 2011 r., [w:] opoka.org.pl). Joanna od trzynastego roku życia doświadczała wizji, w których pojawiali się św. Michał Archanioł, św. Katarzyna Męczennica i św. Małgorzata Męczennica. W tym czasie Joanna zdecydowała się złożyć śluby czystości. Głosy świętych, które słyszała, wskazywały m.in. na potrzebę wypędzenia Anglików z Fran-

cji i doprowadzenia do koronacji Karola. Joanna miała w tym pośredniczyć. Wojna stuletnia trwała już od ponad siedemdziesięciu lat, a Kościół w tym czasie targany był poważnym kryzysem związanym z wystąpieniami antypapieży. Joanna przygotowywała się do swojej misji przede wszystkim duchowo: codziennie uczestniczyła we mszy świętej, często się spowiadała i przyjmowała Komunię Świętą. Jak podkreślił Benedykt XVI, od najmłodszych lat „okazywała ona wielką miłość i współczucie ubogim, chorym i wszystkim cierpiącym w dramatycznych latach wojny” (tamże). W wieku szesnastu lat po raz pierwszy próbowała przekonać o swoim posłannictwie, ale została odesłana. Rok później dotarła do jednego z feudałów. Udało jej się go przekonać, by z jego poparciem posłał ją do Chinon, gdzie przebywał król. Dotarłszy do niego, otrzymała pozwolenie na ruszenie z wojskiem na odsiecz Orleanu. Po kilku spektakularnych zwycięstwach przyszedł moment załamania, kiedy zdradzona przez Burgundczyków, trafiła przed oblicze Anglików. Ci powołali trybunał kościelny w Rouen. Joanna została oskarżona o herezję i spalona na stosie, jednak już w 1456 roku papież Kalikst III nakazał rewizję wyroku, dzięki czemu Joannę uniewinniono. W 1920 roku została uznana za świętą.



Głosy Joanny d'Arc, aut. Jacques Clement Wagrez

źródło: wikimedia.org

„Nie lekceważ legendy”?

W 1999 roku ukazały się dwa filmy, które opowiedziały historię świętej. Jednym z nich była *Joanna d'Arc* w reżyserii Kanadyjczyka Christiana Duguay. Długi, podzielony na dwie części film stanowił próbę ukazania całości życia świętej. Pojawiające się na początku filmu napisy mogą jednak zaskakiwać: „w czasach zwanych ciemnymi wiekami zrodziła się legenda, której nadejście zapowiedział czarodziej Merlin”. Dlaczego w historię opowiadającą o faktycznie żyjącej osobie, której losy zostały dobrze udokumentowane (także przez dokładne zapiski z procesowych przesłuchań), reżyser wprowadza wątek fikcyjnej postaci wywodzącej się z legend arturiańskich? W filmie wielokrotnie wraca pojęcie „legandy”, które oznajmia przyjście „dziewicy lotaryńskiej”. Historyk



Maciej Rosalak przytacza, że we Francji miała być powtarzana przepowiednia o przyjściu dziewczicy z Lotaryngii, trudno jednak określić ją mianem legendy, a tym bardziej wiązać z fikcyjną postacią Merlina (por. Rosalak M., *Triumf Dziewicy Orleańskiej*, „*Historia do rzeczy*” 2016, nr 11). Sięgnięcie po taki zabieg może sugerować, że dla samego twórcy postać Joanny d'Arc stanowi pewną metaforę, niemal fantastyczną postać, której wszelkie cudowne działania można traktować na równi z opowieściami o smokach i czarodziejach. Pomimo to film *Joanna d'Arc* porusza wiele wątków z biografii świętej.

Duguay zaczyna od przedstawienia dzieciństwa Joanny. Religijność dziewczyny podkreśla w scenie modlitwy w kościele. To w jej trakcie ukazuje się Joannie promień światła. Dziewczynka przyznaje, że objawił się jej św. Michał. Film dosyć mocno przyspiesza i wkrótce poznajemy Joannę jako szesnastoletnią dziewczynę. Ta pomaga wojennym uciekinierom wbrew woli ojca. Gdy odwiedza miejscowy kościół, wyznaje kapłanowi, że od dawna nawiedzają ją w wizjach święci Michał, Katarzyna i Małgorzata. Mówią jej o misji uratowania Francji i koronacji Karola. Duguay pomimo wspomnianego nawiązania do legend zdaje się ukazywać historię świętej dość wiernie. Joanna dociera do miejscowego feudała, który początkowo ją odprawia, ale w końcu ulega jej prośbom i wysyła ją w eskorcie do króla w Chinon. Dosyć dobrze wydaje się być pokazany także konflikt między Joanną a dowodzącymi armią. Jak przytacza Maciej Rosalak, trudno było dowódcom przyjąć taktykę Joanny, którą uważano za ryzykowną (tamże). Próbowano także odsunąć ją od procesu decyzyjnego. Jedna z narad wojskowych odbyła się bez jej udziału. Szybkie zwycięstwa i wiara żołnierzy w jej posłannictwo sprawiało jednak, że ze zdaniem Joanny coraz bardziej się liczone. To także ukazuje Duguay. Joanna wlewa wiarę w zwycięstwo zwykłych żołnierzy, nalega na zdecydowane ataki, ale także zawsze przed atakiem próbuje przekonać Anglików do odwrotu i opuszczenia francuskiej ziemi. Z inicjatywy Joanny list o takiej treści wysłany był m.in. do angielskiego dowódcy oblegającego Orlean.

Pomimo wierności w przedstawieniu takich wydarzeń Duguay nie unika kilku sprzeczności. Podczas nadania Joannie tytułu szlacheckiego przez Karola VII ten oznajmia, że zwolni jej wioskę z płacenia podatków. W rzeczywistości to sama Joanna wyszła z taką inicjatywą, była gotowa do rezygnacji z tytułu szlacheckiego. Także nalegania Joanny na atak na Paryż rozmiągają się z faktami. To sam Karol chciał wcześniej zaatakować Paryż, podczas gdy Joanna naciskała, by najpierw koronował się na króla Francji. W filmowej opowieści reżyser stara się także wprowadzić konflikt wewnętrzny bohaterki.

Joanna mimo pewności co do swoich wizji wątpi, czy jest rzeczywiście Dziewicą Orleańską. Jedną z zakonnic oznajmia jej, że bardziej niż w legendy powinna wierzyć w siebie. Twórca wprowadza więc mocny współczesny i modny wątek, traktując niejako boskie posłannictwo Joanny w kategoriach wspomnianej legendy.

Choć wyżej padło kilka zarzutów wobec filmu Duguaya, warto zauważyć, że zachowuje on całkiem dużo faktów z życia świętej, podkreśla też negatywne znaczenie postaci biskupa Cauchona, któremu zależało na uznaniu Joanny za winną herezji. Jednocześnie takie elementy jak wspomniane odniesienie do legendy arturiańskiej czy próby uwspółcześnienia postaci Joanny, która ma wierzyć bardziej w siebie niż w Boży plan, wypłukują ją z jej religijnego charakteru. Pod koniec filmu to wrażenie potęguje rozmowa dwóch wysoko postawionych duchownych, którzy w czasie procesu spyтали Joannę o to, jak wyglądał anioł, który się jej objawił. Ta odpowiada, że miał długie włosy i skrzydła. Jeden z duchownych zauważa, że dokładnie taki opis anioła zawiera się w świętych, tajemnych księgach ukrytych w Watykanie (sic!), co pobrzmiewa nieco Danem Brownem.

Sąd Bessona

Film Duguaya zyskuje wartości, gdy porówna się go z wizją zaproponowaną przez francuskiego reżysera Luca Bessona. Film twórcy takich dzieł jak *Leon Zawodowiec* czy *Piąty Element* jest zdecydowanie bardziej wysokobudżetowy od filmu Duguaya. Widoczne jest to nie tylko w scenach batalistycznych, liczbie statystów, bogactwie scenografii, ale także w sposobie nagrywania, zdolności przyglądania się detalom. Od początku Besson wprowadza jednak widza w nastrój niepokoju. Wizje, które nawiedzają małą Joannę, pozbawione są obecności świętych. Przypominają bardziej koszmary, w których pojawiają się tron, mały złowieszczy chłopiec lub wilki. W wizjach tych trudno dostrzec to, o czym wspominała bohaterka filmu Duguaya, tj. ciepłe i delikatne głosy świętych. I chociaż niektóre z pojawiających się tam widzeń rażą dziś tanim efekciarstwem, to jasne światło z nieba nie budzi podobnego niepokoju jak u Bessona.

Niedługo po jednej z takich wizji stajemy się świadkami ataku Anglików na wioskę. Ukrywająca się w składziku Joanna staje się świadkiem śmierci swojej siostry, która zostaje brutalnie zabita przez jednego z żołnierzy. Besson opiera na tym wydarzeniu późniejszą motywację Joanny. Choć ta wielokrotnie powtarza, że jest wysłana przez Boga, nosi w sobie widocznie pragnienie pomszczenia zamordowanej siostry. Także w jednym ze snów przypomina sobie to wydarze-





nie. Od początku prowadzenia historii Besson stara się więc umiejscowić motywację Joanny poza religijnym kontekstem.

Samo zachowanie Joanny w wielu momentach nie przywodzi na myśl postaci uduchowionej świętej. Jak zauważa publicysta Jakub Ostromięcki, momentami przypomina ona „zachrypniętą nastolatkę z syndromem ADHD” (Ostromięcki J., *Krzywdą dziewczyny orleańskiej jak laicka Francja wstydzi się własnej historii*, [w:]

dorzeczy.pl). Joanna jest ciągle niespokojna, histeryczna, krzykliwa, w pewnym momencie uderza nawet jednego z dowódców w twarz. Trudno zrozumieć, jaką cechą charakteru przekonuje zwykłych żołnierzy do ruszenia za nią do walki. Mimo to stara się nie doprowadzać do rozlewu krwi, sugerując Anglikom wycofanie się. Sama także często mówi o potrzebie spowiedzi.

Te religijne zachowania zdają się jednak ginąć pod naporem bardzo konkretnego sposobu patrzenia Luca Bessona na swoją główną bohaterkę. Po jednej ze zwycięskich batalii Joanna zaskoczona i przerażona spogląda na trupy zabitych. Ktoś zauważa, że przecież sama tego chciała. W takich scenach jak ta twórca podkreśla, że posłannictwo Joanny niesie jedynie krew i cierpienie, że wątpliwe jest, aby stał za tym sam Bóg. Besson mocno akcentuje samą wojnę, która w jego ujęciu jest nobilitowana przez religijny fanatyzm.

Twórca nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości, gdy Joanna zostaje porwana i postawiona przed oblicze angielskich duchownych. W swojej celi ukazuje się jej zakapturzona postać (grana przez Dustina Hoffmana), która, jak zauważa Jakub Ostromięcki, w scenariuszu została określona jako „głos sumienia”, ale równie dobrze mogłaby przywieść na myśl postać diabła (tamże). Besson, choć jest Francuzem, zdaje się stawiać po stronie angielskiego sądu. Twórca sądzi Joannę za pomocą postaci głosu sumienia. Ten podaje w wątpliwość wizje Joanny, gdy pyta, jakie one dokładne były. Joanna mówi jedynie o zewnętrznych zdarzeniach jak płynące na niebie chmury, wiatr czy bicie dzwonów. Nie opisuje żadnych głosów ani wizerunków świętych. Besson sugeruje, że Joanna zinterpretowała sobie w sposób dowolny własne odczucia, które były dalekie od religijnej wizji. Pod naporem oskarżeń zakapturzonej postaci sama Joanna przyznaje, że walczyła w akcie zemsty i desperacji, widziała znaki, które chciała widzieć, kierowała się dumą, okrucieństwem i upartością. Owy „głos sumienia” sugeruje także, że Joanna uzurpuje sobie prawo do mówienia, co jest dobre i złe, a to według niego dowodzi, że stawia siebie na miejscu Boga. Besson w wyobrażonej przez Joannę postaci formułuje właściwie wszystkie zarzuty kościelnego trybunału. Idzie jednak dalej i w formie wewnętrznego dialogu Joanny sugeruje jej własne wewnętrzne oskarżenie i przyznanie się do winy.

Po scenie spalenia napisu informującego, że Joanna została kanonizowana kilkaset lat później, trudno nie odczytywać w tym świetle jako zarzutu.

Wymowa milczenia

Besson nie starał się zrozumieć motywacji Joanny ani odnieść się do historycznej dokumentacji, która dobrze portretuje postać świętej. Taką próbę przesłoniły mu własne uprzedzenia względem religii. Wśród filmów opowiadających o Dziewicy Orleańskiej, niedoścignionym wzorem nadal pozostaje dzieło duńskiego reżysera Carla Theodora Dreyera *Męczeństwo Joanny d'Arc* z 1928 roku. Jest to film niemy, w którym twórca skupia się na ostatnim etapie życia świętej – na procesie. Jak możemy wyчитать z napisów początkowych, historia została oparta na dokumentach z procesu znajdujących się w paryskiej bibliotece Chambre des Députés. Dreyer określa je „jako jedne z najbardziej niezwykłych dokumentów w historii ludzkości”. W pierwszych ujęciach ukazuje właśnie zapisane strony księgi, jakby chciał podkreślić, że długo studiował zapiski z procesu.

Jak zauważył francuski historyk kina Pierre Leprohon, film Dreyera „jest paradoksem” (Leprohon P., *Film francuski*, 1957, s. 79). Duński reżyser wybrał na temat filmu niemego zapis rozmowy. Choć przez film przewijają się plansze z napisami przedstawiające dialogi, w wielu momentach twórca pokazuje same twarze. Są to bardzo wymowne ujęcia. Twarze strażników i duchownych, ukazujące napięcie, wyczekiwanie, z surowym spojrzeniem, szepczące między sobą po to, by zadać takie podchwytliwe pytanie, które stałoby się dla Joanny pułapką bez wyjścia. Film kręcony jest na bardzo dużych zbliżeniach. Twarz Joanny jest pełna napięcia i łez. Ciągłe przeciwstawiane są jej twarze sędziów, które zdają się ją przytłaczać i stanowią dla niej niewypowiedziany ból. Dzieło Dreyera w sposób bardzo sugestywny ukazuje ten moment z historii życia Joanny. Posądzenie o najgorsze zbrodnie, oskarżenie o herezję. *Męczeństwo Joanny d'Arc* uświadamia niezwykłość postaci świętej, prostej dziewczyny ze wsi, analfabetki, która musiała zmierzyć się z oskarżeniami największych teologów i która zachowała w sobie dość siły i odwagi, by stawiać im czoła. Jak zauważył Pierre Leprohon, film Dreyera w czasach swojej premiery był wielokrotnie wyświetlany bez muzyki i nie przeszkadzało to widzom, bo jak stwierdził, „jego prawdziwą wymową jest milczenie” (tamże).

W jednej ze scen filmu Duguaya pojawia się kwestia „cokolwiek robisz, robisz z woli Boga”. Przez ten pryzmat można się zastanawiać nad rolą Joanny. To ona została wybrana przez Boga, to za Jego pośrednictwem zwyciężała i wlewała wiarę w serca żołnierzy. To dzięki Niemu zachowała w sobie wolę i siłę. Jednocześnie nadal była wiejską dziewczyną, która musiała przekonywać władców i dowódców,

która musiała wkroczyć w wielki świat polityki i wojny. Musiała również powiedzieć „tak”, uwierzyć, zachować w sobie pokorę, bez której nie stałaby się jedną z „najsilniejszych kobiet średniowiecza”.



Kard z filmu *Joanna d'Arc*,
reż. L. Besson

źródło: yty.com



Pornografia: przemysł i feminizm



Jan Borowski

Nie wiadomo do końca, ile jest wart, kto dokładnie za nim stoi, a często także, czy respektuje prawa zatrudnionych osób. Coraz więcej ludzi zaczyna jednak rozumieć, że przemysł pornograficzny jest realnym zagrożeniem dla europejskich społeczeństw.

W ostatnim wydaniu miesięcznika „Adeste” poświęciłem artykuł problemowi pornografii – jej szkodliwemu wpływowi nie tylko na dzieci, ale również na osoby pełnoletnie. Powodów, dla których warto nie oglądać takich filmów, jest wiele. Długo wymieniać można by szkody, jakie ponosi przez nią zarówno widz, jak i całe społeczeństwo: od mniejszej trwałości związków po eskalację przemocy wobec kobiet. Jeszcze innym aspektem pozostają powiązania przemysłu seksualnego z nielegalnym handlem ludźmi, a także uwłaczające ludzkiej godności warunki pracy aktorek.

Pieniądze

Zacznijmy jednak od aspektu finansowego: jak duży jest biznes, o którym tu mówimy? Trudno faktycznie udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi, nie ma po prostu spójnych danych, na których można by oprzeć wyliczenia. Większość biur i urzędów statystycznych nie stara się nawet wyodrębnić por-

nografii w swoich kalkulacjach, zaliczając ją po prostu do show biznesu.

Jeżeli już ktoś zdecyduje się na podanie konkretnych liczb, rozbieżności okazują się ogromne. Poważna stacja telewizyjna, jaką jest CNBC, podała na przykład swego czasu, że roczny przychód branży porno wynosi 97 miliardów dolarów. Dawaby to jakieś trzy tysiące na sekundę i czyniło tę branżę bardziej dochodową niż całe Hollywood. Liczby te okazują się jednak poważnym przeszacowaniem.



Wystarczy zauważyć, że uznawana za największego gracza na tym rynku firma MindGeek (właściciel portalu Pornhub, ale i wielu innych stron o podobnym profilu) wygenerowała w 2015 roku „jedyne” niecałe pół miliarda dolarów obrotu. Trudno sobie wyobrazić, aby inne, pomniejsze firmy, mogły wypełnić brakującą różnicę (por. Zych A., *Branża pornograficzna. Ile tak naprawdę jest warta?* [w:] *oporno-grafii.pl*). Wyolbrzymianie znaczenia branży pornograficznej można zatem uważać za rodzaj poszukiwania taniej sensacji. Co jednak nie oznacza, że nie stanowi ona poważnego problemu.

Kobieta w branży porno

Aktorki i aktorzy porno umierają młodo. Dość głośnym echem odbiła się sprawa Caroline Berger, która zmarła w 2011 roku, mając dwadzieścia trzy lata. Bezpośrednią przyczyną było zniszczenie mózgu spowodowane operacją plastyczną. Wstrzyknięto jej 800 g silikonu, czego organizm nie zdołał wytrzymać. Nie jest to przypadek odosobniony. W internecie dostępna jest lista zmarłych gwiazd porno, gdzie przy każdym nazwisku podano datę i przyczynę zgonu. Niepokojąco często pojawia się tam samobójstwo, przedawkowanie czy AIDS.

Warunki pracy również nie należą do dogodnych: zgodnie z badaniami, które cytowałem w poprzedniej części tego cyklu, przemoc fizyczna pojawia się w około 90% scen, natomiast przemoc słowna – w niemal połowie. Okazuje się, że występują ogromne różnice między płciami. Aż 97% wszystkich uderzeń otrzymują w tego typu filmach kobiety. Również w ich kierunku najczęściej kierowane są wulgaryzmy.

Przy licznych ranach na ciele nietrudno o zakażenie wirusem HIV, rzeżączką czy chłamydią. Nie bez szkody pozostaje psychika. Ogromny nacisk kładzie się na przykład na zachowanie fizycznej atrakcyjności za wszelką cenę. Presja ta staje się najsilniejsza po kilku latach pracy, gdy w internecie są dostępne nagrania sprzed jakiegoś czasu, z okresu największej atrakcyjności.

Gospodarka i handel ludźmi

Co zatem sprawia, że tak wiele kobiet decyduje się na wejście w ten system? Niemal wszystkie zgodnie odpowiadają, że przynajmniej początkowo zależało im na pieniądzu. Pensje faktycznie mogą być kuszące: w Stanach osiągają od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów za występ, w zależności od rodzaju nagrania. Oznacza to, że zgadzając się na nie dziewczyna może zarobić nawet pięćdziesiąt razy więcej, niż gdyby pracowała przez ten czas w McDonalddie (por. Reist M., Bray A. (red.), *Big Porn*, 2011).

Dla wielu z nich udział w filmach pornograficznych staje się więc ratunkiem w problemach finansowych. Nie bez winy jest więc na pewno amerykański system ekonomiczny, w którym praktycznie nie ma opieki społecznej, a pesymistyczna diagnoza lekarska często prowadzi do bankructwa. W USA problem ten dotyczy często również imigrantów, którzy nie potrafią znaleźć innych źródeł utrzymania.

Inną gałęzią tego problemu jest handel ludźmi. International Labour Organisation w raporcie za rok 2016 podała, że 4,8 miliona osób było ofiarami wyzysku seksualnego (rozumianego naturalnie szerzej niż jedynie jako pornografia). To jedna piąta wszystkich ofiar handlu ludźmi (*human trafficking*). Aż 70% przypadków tego procederu zarejestrowano w Azji i w rejonie Pacyfiku. Następna jest Europa wraz z Azją Centralną (14%). Na końcu natomiast plasują się obie Ameryki oraz kraje arabskie (kolejno 4 i 1%). Niemal wszystkie ofiary to kobiety, niektóre zaangażowane w ten biznes już jako dzieci.

Koreluje to z danymi, wedle których większość aktorek pornograficznych była w dzieciństwie molestowana (Nadon S. i inni, *Antecedents to Prostitution: Childhood Victimization*, 1998). Działalność w branży seksualnej, jak zauważają niektórzy psychologowie, jest kontynuacją tego wykorzystywania. Osoby te zgadzają się na poniżające traktowanie tylko dlatego, że nie miały nigdy możliwości wyrobienia sobie właściwego pojęcia o seksualności.

Branży pornograficznej nie należy wiązać jednak bezpośrednio z tymi danymi. Producenci pornografii są często właścicielami zarejestrowanych firm, do których aktorki zgłaszają się dobrowolnie. Na pewno część dziewcząt i kobiet jest



zmuszanych do udziału w nagraniach, trudno jednak ustalić, jaki dokładnie jest to odsetek, ponieważ znowu brakuje wiarygodnych danych. Jakkolwiek twierdzenie, że handel ludźmi jest typowy dla całej branży, byłoby niewłaściwą generalizacją.

Feminizm antypornograficzny

Jako że głównymi i bezpośrednimi poszkodowanymi przez branżę porno są kobiety, nie ma co się dziwić, że dość szybko głos podniosły feministyczne działaczki. Środowiska lewicowe są jednak w tej kwestii mocno podzielone. Nie wszystkie feministki zgadzają się, że pornografia jest szkodliwa dla samych kobiet. Te, które tak sądzą, wskazują, że bogata w przemoc pornografia staje się „strukturalną bronią ustroju patriarchalnego”, która utrwała przedmiotowe postrzeganie kobiet (por. Reist M., Bray A. (red.), *Big Porn*, 2011).

Niektóre podkreślają także, że jak kiedyś mieliśmy do czynienia z alienacją robotnika, na co zwracał uwagę Karol Marks, tak obecnie dochodzi do alienacji prostytutki. Proces ten, zdaniem Marksa, miał polegać na tym, że dziewiętnastowieczny robotnik, pracując w ogromnej fabryce, nie miał żadnego wpływu ani na warunki swojej pracy, ani na to, co wytwarzał i co się z tym produktem później stało. Podobnie kobiety zarabiające własnym ciałem, które dawniej trudniły się prostytutką, dziś nie mają większego wpływu ani na warunki pracy, ani też na to, gdzie trafią później ich nagrania.

Feministki oponują nie tylko przeciwko samej pornografii, lecz także przeciw wszelkim formom prostytutki, jak na przykład kluby ze striptizem. Zauważają między nimi wiele powiązań: nie tylko w przedmiotowym sposobie traktowania kobiet, lecz również w sferze finansowej. Właściciele stron i wytwórni pornograficznych prowadzą często takie kluby jako przybudówkę do swojego biznesu. Tancerki w nich zatrudnione w wielu przypadkach stają się później aktorkami filmów porno.

Tymczasem amerykańskie Biuro Analiz Biznesowych przyznało w raporcie z 2009 roku, że striptiz jest w rzeczywistości „brutalnym i traumatycznym sposobem pracy, przepełnionym przemocą seksualną, werbalną i fizyczną, który wykorzystuje pracujące w nim kobiety”. Problemem naszej epoki jest ogólna seksualizacja całego społeczeństwa. Dotyczy to nawet branży marketingowej, która pokazując wyidealizowane ciała, kształtuje nieosiągalny wzorzec i wypacza rozumienie ideałów kobiecości oraz

męskości (por. Kilbourne J., *The dangerous way ads see women* [w:] [youtube.com](https://www.youtube.com/watch?v=...)).



Delegalizacja?

Metodą nie są jednak usilne próby blokowania treści pornograficznych, których niepowodzenie z góry można przewidzieć. Jakiś czas temu na przykład media obiegała informacja, że Ministerstwo Cyfryzacji

przygotowuje taką właśnie blokadę, mającą ograniczać dostęp do pornografii. Wydawałoby się, że jest to inicjatywa słuszna, gdyby nie fakt, że nawet jeżeli takie przepisy weszłyby w życie, pozostawałyby martwe. To dlatego, że nie istnieją właściwie metody cenzury internetu, których nie dałoby się obejść za pomocą prostej w użyciu sieci TOR lub VPN.

Jedynym skutecznym sposobem byłoby dotarcie do właścicieli serwerów i nakazanie im usunięcia danych materiałów – ci jednak znajdują się najczęściej daleko poza obszarem polskiej jurysdykcji. Można więc jedynie zakazać nagrywania czy rozpowszechniania pornografii na terenie Rzeczypospolitej. Ale i to rozwiązanie budzi sporo wątpliwości: biznes przeniósłby się prawdopodobnie do podziemnia, z czasem przybierając pewnie zabarwienie mafijne.

Władze Islandii przed dekadą zakazały działalności klubom ze striptizem. Uzasadniając tę decyzję, lewicowa premier Jóhanna Sigurðardóttir, która otwarcie określa się jako lesbijka, stwierdziła: „Kraje nordyckie dążą do równego traktowania kobiet, postrzegając je jako równych obywateli, a nie towar przeznaczony na sprzedaż”. Ustawa została przyjęta bez choćby jednego głosu sprzeciwu.

Tym samym Islandia stała się drugim europejskim państwem (obok Watykanu), które zakazało tego typu działalności. Jak nietrudno się spodziewać, nielegalnie nadal działają pojedyncze lokale (Benjamin G., *Twenty Thousand ISK Gets You An Illegal Strip Dance*, grapevine.is), można zatem spierać się o zasadność takiego posunięcia prawnego. Delegalizacja pozostaje więc zagadnieniem do szerszej dyskusji.

Prawica ma pole do popisu

Niezależnie od tego, czy zdecydujemy się na delegalizację pornografii, czy szerzej rozumianej branży seksualnej, ogromnie ważnym zadaniem pozostaje uświadamianie. Nie powinniśmy dopuścić, aby pornografia stała się w świadomości Polaków czymś normalnym. W tym miejscu znów warto, aby prawicowi działacze uderzyli się w pierś i zapytali, co tak naprawdę robią w tej materii. Działalność feministyczna w tym zakresie bardzo łatwo została oddana na wyłączność lewicowym aktywistkom. Dlaczego nie ma woli do walki ramię w ramię, jeśli (mimo być może różnych motywacji) powinniśmy mieć wspólny cel?

Jest to teren, na którym katolicy mogliby się wykazać, a jednak ograniczają się najczęściej jedynie do umoralniających frazesów. Katolicki feminizm jest możliwy, czego dowodzi między innymi Laura Korzeniowska swym artykułem w tym (30.) numerze miesięcznika „Adeste”. Tym bardziej więc tematy takie, jak pornografia czy ogólna seksualizacja społeczeństwa, powinny być aktywnie poruszane.

Częstym błędem katolików wydaje się sprowadzanie dyskusji wyłącznie do poziomu przykazań i wartości. To oczywiście poziom niezwykle ważny, ale – umówmy się – cnota czystości dla współczesnego Kowalskiego nie znaczy zbyt wiele. Całe szczęście, że moralność katolicka jest w wielu aspektach uniwersalna i do swojego uzasadnienia nie potrzebuje religii. Tak jest i w tym przypadku: argumentację wystarczy oprzeć na kilku rzeczowych danych i zdrowym rozsądku. Najlepiej potwierdza to fakt, że niektóre feministki, nie opierając się przecież na nauce Kościoła, doszły do podobnych wniosków.



źródło: unsplash.com

Katolicki feminizm – oksymoron?



Laura Korzeniowska

Feminizm kojarzy się z kobietami, które z aborcji zrobili swego rodzaju fetysz, a swoją moralność dawno zgubiły na Czarnym Marszu. To zdecydowanie nie jest ideologia, z którą powinna utożsamiać się katoliczka. Czy aby na pewno?

Krótką historia feminizmu

Pierwszy raz o feminizmie usłyszano w Stanach Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych. Natomiast już w XVIII wieku pojawiały się pierwsze idee poprawy bytu kobiet. Prekursorka feminizmu Mary Wollstonecraft w swojej publikacji *Wołanie o prawa kobiety* z 1792 roku podnosiła takie problemy, jak niedostatek edukacji dziewcząt, nierówny status kobiet, konieczność zrównania praw kobiet i mężczyzn czy prawo kobiet do pracy. W XIX wieku kobiety posunęły się o krok dalej, starając się wywalczyć prawa do pracy, do własności, do zachowania własnego majątku po zamążpójściu, do wolności słowa, równych praw w obrębie rodziny (za: encyklopedia.pwn.pl). Koniec XIX i początek XX wieku to czas działalności sufrażystek, których głównym postulatem było przyznanie praw wyborczych kobietom. Sufrażystki stanowią tak zwaną pierwszą falę feminizmu, która zakończyła się wraz z przyznaniem praw wyborczych kobietom. Druga fala feminizmu przypadła na lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte XX wieku. Oprócz postulatów podnoszonych już wcześniej, jak równy dostęp do edukacji czy zmia-



ny w prawie, pojawiły się hasła związane z równouprawnieniem na rynku pracy i tak zwanymi prawami reprodukcyjnymi. Feminizm trzeciej fali swój początek miał w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Ten etap nazywany jest również postfeminizmem. Zrodził on się głównie w wyniku porażki feminizmu drugiej fali. Tym razem zwrócono uwagę na podziały związane z rasą, etnicznością i wyznaniem religijnym. Od około 2012 (lub 2010) roku mamy do czynienia z czwartą falą feminizmu, gdzie skupiono się na wspieraniu i wzmacnianiu pozycji kobiet za pomocą internetu oraz walce o prawa najbardziej marginalizowanych grup.

Feminizm a katolicyzm

Czy w ogóle jest możliwe takie zjawisko jak katolicki feminizm? Czytając historię feminizmu, a także przyglądając się współczesnym wystąpieniom feministek, można dojść do przekonania, że ostatni raz katolicy i feministki mieli ze sobą coś wspólnego podczas pierwszej fali. Jednak w 1995 roku papież Jan Paweł II ogłosił encyklikę *Evangelium Vitae*, gdzie pada między innymi takie zdanie: „kobiety [...] mają stawać się promotorkami »nowego feminizmu«, który nie ulega pokusie naśladowania modeli »maskulinizmu«, ale umie rozpoznać i wyrazić autentyczny geniusz kobiecy we wszystkich przejawach życia społecznego, działając na rzecz przezwyciężania wszelkich form dyskryminacji, przemocy i wyzysku” (Jan Paweł II, *Evangelium Vitae*, pkt 99). I właśnie te słowa przyświecają kobietom, które określają się jako katolickie-feministki. Ideą katolickiego feminizmu jest walka o równe prawa dla kobiet, ale nie tak, by kobieta stała się jak mężczyzna, ale by w tym wszystkim pozostała kobietą i wzbogacała świat swoją kobiecością.

Co to właściwie oznacza? Przysłuchując się postulatowi feministycznemu, można dojść do wniosku, że równouprawnienie oznacza, że kobieta i mężczyzna będą tacy sami. Katolicki feminizm mówi jednak coś innego: kobieta jest równa mężczyźnie, gdyż taką samą godnością obdarzył nas Stwórca (por. KKK 369). Kobieta jednak nie jest taka sama jak mężczyzna i przez to często może doświadczać dyskryminacji, z którą należy walczyć. Jedną z głównych różnic poważnie naznaczających funkcjonowanie kobiet w społeczeństwie jest płodność i zdolność przynoszenia na świat dzieci. Jeśli powinniśmy walczyć

o równouprawnienie z poszanowaniem różnic między kobietą a mężczyzną, to wszelkie formy antykoncepcji stoją w sprzeczności z tymi ideałami, gdyż pozbawiają kobiety tej cechy odróżniającej je od mężczyzn. Według Samantha Povlock, założycielki portalu *FemCatholic*, to naturalne metody planowania rodziny są „feministyczne”, ponieważ zapraszają mężczyzn do dyskusji o płodności. Dzięki temu mężczyźni stają się równie świadomi i odpowiedzialni za to, co się dzieje przy podjęciu współżycia (por. Povlock S., *NFP Is at the Heart of the Feminism Movement for Equality*, za: www.femcatholic.com).



źródło: unsplash.com

Feministki-katolickie – czy one naprawdę istnieją?

Katolicki feminizm to coraz bardziej rozwijający się ruch społeczny. Dowodem tego może być istnienie grupy skupionej wokół portalu *FemCatholic*, liczącej już 1200 osób. W pewien (znaczący) sposób do rozwoju tego ruchu przyczyniły się Samantha Povlock i Claire Swinarski. Pierwsza z nich jest założycielką portalu *FemCatholic*, gdzie dyskutuje się na tematy ważne dla kobiet. Jak sama o sobie mówi, zawsze uważała się za feministkę. Twierdzi, że każda kobieta jest inna, ale łączy je właśnie to, że są kobietami, a znaczenie tego pomaga zrozumieć wiara i nauczanie Kościoła. Claire Swinarski (mąż Claire jest Polakiem) natomiast jest założycielką portalu *Catholic Feminist Podcast*. Do kolejnych podcastów Claire zaprasza kobiety, które realizują wiarę w swoim życiu. Claire właśnie wydała książkę *Girl Arise! A Catholic Feminist's Invitation to Live Boldly, Love Your Faith, and Change the World*. I właśnie tym jest katolicki feminizm – zaproszeniem, by żyć odważnie, w jedności z Kościołem, i żeby zmieniać świat.

Przypadek Michelle Williams

Raz w roku w amerykańskim świecie filmowym odbywa się impreza, na której nagradza się filmy, seriale, muzykę, aktorów, reżyserów itd. Nagroda przyznawana jest przez Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej. O czym mowa? Oczywiście o Złotych Globach. W tym roku opinię publiczną podzieliło coś więcej niż tylko to, komu przyznano nagrodę, czy która aktorka miała lepszą kreację. Szerokim echem odbiło się przemówienie jednej z laureatek Złotego Globu za drugoplanową rolę

w serialu *Fosse/Verdon*, Michelle Williams. W czasie kilkuminutowego wystąpienia padły między innymi takie słowa: „Wolę raczej patrzeć na nie [swoje życie – przyp. red.], jak na pisane moją ręką – czasem niezgrabnie, czasem ostrożnie i uważnie, ale tak, że nie ma wątpliwości, że ono jest »moje«. Nie byłabym w stanie tego zrobić, gdybym nie wierzyła w prawo kobiet do wyboru. Także do wyboru tego, kiedy



mieć dziecko i z kim je mieć” (za: *ofemin.pl*). Przemówienie to zostało odebrane jako prosta deklaracja, że gdyby nie aborcja, Williams nie dostałaby tego Złotego Globu. I w czasie, gdy wiele osób chwaliło Williams za „ważną przemowę”, „ostre przemówienie” i „mówienie o prawie do decydowania o własnym ciele” (fragmenty tytułów artykułów na ten temat), pojawił się niezwykle poruszający wpis *The Catholic Feminist Podcast*: „Michelle Williams: przykro mi, że my jako społeczeństwo uczyniliśmy życie matki tak trudnym, że nie zorientowałaś się, że byłaś wystarczająco silna, by zmierzyć się ze swoimi zawodowymi marzeniami i urodzić. Przykro mi, że tak wielu oklaskiwało twój wybór, by zakończyć życie, prowadząc cię do przekonania, że ten wybór był właściwy. Przykro mi, że ludzie, którzy deklarowali walkę na rzecz kobiet, wciąż dają branży i przedsiębiorstwom łatwą drogę wyjścia [z problemu]. Przykro mi, że cię zawiedliśmy i przykro mi, że przez to zawiodłaś swoje dziecko” [tłum. red.]. Czy to właśnie nie jest jaskrawy przykład tego, że jest nad czym pracować i jest nadal o co walczyć? Oby ta praca przyniosła taki efekt, że kolejna laureatka Złotego Globu w swoim przemówieniu zadedykuje nagrodę swoim dzieciom.

Zredefiniować feminizm

Mężczyzna i kobieta mają taką samą godność osobową daną przez Boga (por. KKK 2334), jednak różnią się między sobą. To jest dobre i musi być lepiej zrozumiane i przyjęte, jeśli mamy odzyskać feminizm, który naprawdę będzie służył kobietom (Bambury A., *It's Time to Reclaim Feminism, And It's Up To Catholics To Do It*, za: www.femcatholic.com). Dopiero mężczyzna i kobieta razem stanowią kompletny obraz Boga w człowieku. I żeby być dobrze zrozumianym, katolicki feminizm nie ogranicza się do zakazania aborcji i promowania NPR. Katolickie feministki działają na wszystkich polach życia społecznego, gdzie dochodzi do „dyskryminacji, przemocy i wyzysku” (Jan Paweł II, *Evangelium Vitae*). Pokazują, jak geniusz kobiecy wzbogaca rynek pracy, działają na rzecz równego dostępu do edukacji, sprzeciwiają się handlowi ludźmi czy dyskryminacji na tle rasy itp. Jednak we wszystkich tych działaniach pozostają kobietami i wymagają od innych, aby szanowali ich kobiecość.



La donna è mobile – Maria i Marta



Krzysztof Jan Wojtyra

Każdy słyszał arię z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego, która opowiada o tym, że kobieta zmienną jest. Czy aby na pewno? Jak zapatruje się na to Biblia? Zapraszam cię dziś na wycieczkę do Betanii, do domu Marii, Marty i Łazarza, aby razem z Janem dowiedzieć się, jak to w końcu jest.

Kobiety w starożytności

Zaczynając myśleć o kobietach w Biblii, należy mieć świadomość, że ówczesny świat, poza wyjątkami na przykład żon władców, nie był przyjaznym środowiskiem dla płci pięknej. Jej przedstawicielki były oczywiście widziane jako podpory mężów i strażniczki ogniska domowego, ale to tylko jedna strona medalu. Prześledźmy funkcjonowanie kobiet w starożytnej Grecji, Rzymie oraz w Izraelu.

„Obywatelami greckiej polis mogli być tylko wolni, dorośli mężczyźni. [...] [Kobiety] nie mogły sprawować żadnych funkcji państwowych, na przykład być sędziami, obejmować urzędów i reprezentować swoich interesów w sądach” (Klinkowski J., *Kobiety biblijne na tle epoki*, 2019, s. 56). Ponadto opuścić dom mogły tylko w obecności służącej, a było to jedno z wielu ograniczeń swobodnego poruszania się, które miało służyć ochronie dziewictwa córek oraz wierności żon, a także pozwalało unikać wątpliwości co do ojcostwa dzieci (tamże, s. 60). „Wolna zamężna kobieta, nawet jeśli pochodziła z bo-

Kobieta tańcząca
dla uczestników
sympozjonu; malowidło
czerwonofigurowe



gatego rodu, nie otrzymywała wykształcenia. Lepiej od swoich pań były wykształcone niewolnice, uczono je bowiem przykładowo literatury i gry na instrumentach, aby mogły umilać swoimi umiejętnościami czas właścicielom oraz ich gościom. Żony nawet nie brały udziału w ucztach” (tamże, s. 61) ani nie mogły uczęszczać do teatru (tamże, s. 72).

W Rzymie w wielu aspektach życia kobiety nie miały równych praw, a przykładowo pojęcie cudzołóstwa dotyczyło tylko kobiety, którą mąż mógł zabić, gdyby przyłapał ją in flagranti (tamże, s. 89). Kobiety nie posiadały praw politycznych, a więc także obywatelstwa

(tamże, s. 94). Rzymianki mogły uczestniczyć w ucztach (tamże, s. 95), a ich małżeństwa bazowały na wyrażeniu obopólnej zgody małżeńskiej (tamże, s. 89). „Pod koniec epoki republikańskiej kobiety korzystały z zupełnej swobody. Dysponowały dużymi majątkami, które stanowiły osobistą własność i którymi zarządzały wedle swej woli. Wiele kobiet było dobrze wykształconych, co pozwalało im brać aktywny udział w życiu towarzyskim i wpływać na decyzje polityczne” (tamże, s. 103).

Próbując w sposób syntetyczny ująć obraz kobiety w Starym Testamencie, napotykamy na zasadniczy problem – Biblia nie jest dziełem jednego autora i była spisywana przez setki lat, stąd, podobnie jak w poprzednich przypadkach, można jedynie ogólnie zarysować przedstawioną tam sytuację kobiet. Dla Izraelitów posiadanie potomstwa było znakiem błogosławieństwa (por. Rdz 17, 16a), a bezdzietność – kary (por. Pwt 7,14), dlatego też bycie matką zmieniało pozycję społeczną kobiety. Na to, jak ważne było dziecko, wskazuje fakt, że Sara dla jego posiadania pozwoliła Abrahamowi sygnąć ze swoją niewolnicą. Równy szacunek do matki i ojca znalazł swoje źródło w Bożych przykazaniach. Posiadamy katalog dzielnych niewiast (wśród nich Sara, Rebeka, Debora, Rut, Judyta, Estera), ale z drugiej strony to żony przyczyniały się do upadku Izraela, tak jak stało się to w przypadku Salomona, który pozwolił swoim małżonkom czcić ich bogów i w końcu sam zaczął oddawać im cześć (por. 1 Krl 11, 1–8). Podobnie było z Jezabel, żoną króla Achaba, o której tak mówi Pismo Święte: „Naprawdę, nie było nikogo, kto by tak, jak Achab, zaprzedał się, aby czynić to, co jest złe w oczach Pana. Albowiem do tego skłoniła go żona jego Izebel” (1 Krl 21, 25). Izraelitki ze względu na krwawienia miesięczne były nieczyste, a okres ich izolacji od społeczeństwa trwał siedem dni (por. Kpł 15, 19–25). Znamienne jest to, że w przeciwieństwie do Rzymu, w Izraelu kobieta była chroniona przed gwałtem. Gwałtcielić poślubionej już

kobiety był wszak karany śmiercią (por. Pwt 22, 25); gdyby była ona wolna, wówczas gwałciciel miałby obowiązek ją poślubić i nie mógłby jej oddalić (por. Pwt 22, 28–29).

Warto wspomnieć, że kobiety musiały uważać na to, co robią, aby nie dostać listu rozwodowego, o którym tak jest napisane: „Jeśli mężczyzna poślubi kobietę i zostanie jej mężem, lecz nie będzie jej darzył życzliwością, gdyż znalazł u niej coś odrażającego, napisze jej list rozwodowy, wręczy go jej, potem odeśle ją od siebie” (Pwt 24, 1). Problem z tą instytucją stanowiły rozbieżne interpretacje tego, czym było to „coś odrażającego” – dla jednych była to zdrada, dla drugih różne inne przyczyny (Klinowski J., 2019, s. 120). Kobiety nie pobierały wykształcenia, a Talmud, wszak późniejszy niż czasy biblijne, mówi, że lepsze od nauczania kobiet Tory jest jej spalenie – to komentarz do słów z Miszny, który brzmi: „Ktokolwiek naucza Tory swoją córkę, to tak jakby nauczał o rzeczach niestosownych” (tamże, s. 114).

Kobiety Janowe

Chociaż to ewangelista Łukasz przoduje w liczbie kobiet występujących w jego dziele, to u Jana, jeśli już się pojawiają, to stają się bohaterkami ważnych wydarzeń czy dyskusji. Jan prezentuje nam obraz sześciu kobiet: Marii – Matki Jezusa, Samarytanki spotkanej przy studni, kobiety pochwycionej na cudzołóstwie, sióstr Marii i Marty z Betanii oraz Marii z Magdali.

Maria i Marta pojawiają się w Janowej narracji w związku z dwiema sytuacjami – śmiercią ich brata Łazarza (J 11, 1–44) oraz wydaną dla Jezusa ucztą, tuż przed Jego męką (J 12, 1–11).

Marto, Ja jestem

Ewangelista rozpoczyna opis od przybliżenia nam tła wydarzeń i czyni to w bardzo ciekawy sposób – mówi, że Betania to miejscowość Marii i Marty. Ta prosta informacja jest intrygująca z dwóch powodów. Po pierwsze to właśnie bohaterki, do tej pory nieobecne w naszej Ewangelii, stają się punktem odniesienia w perspektywie, którą przyjmuje ewangelista w swoim opisie miejscowości. Taki stan rzeczy oznacza, że były one znane czytelnikom Jana przykładowo z tradycji Łukaszowej. Po drugie w tym patriarchalnym świecie Łazarz jest określany





w relacji do sióstr, chociaż ówczesny świat zakładał odwrotną regułę (Adamiak E., *Kobiety w Biblii. Nowy Testament*, 2010, s. 152).

Siostry wysyłają wiadomość do Jezusa, która brzmi: „Panie, oto choruje ten, którego Ty kochasz” (J 11, 3). Na pierwszy rzut oka wydaje się ona tylko informacją, lecz zawiera drugie dno, o którym dowiemy się za chwilę. Jezus nie spieszy się z wyruszeniem do Betanii, bo wie, że „choroba ta nie zmierza ku śmierci, ale ku chwale Bożej” (J 11, 4). Kolejny raz pojawia się wiadomość o miłości Jezusa do rodzeństwa z Betanii. W tym miejscu warto zauważyć, że w wyłącznej relacji do Łazarza Jan używa pojęcia φιλέω (czyt. fileo), natomiast gdy mowa jest o całej trójce, zostaje użyty czasownik ἀγαπάω (czyt. agapao). „Język grecki pozwolił ewangelistom zapropono-

wać różne odcienie miłości, w których zawierało się uczucie wobec Łazarza i całej wspólnoty. Relacja z Łazarzem opierała się na przyjaźni, która przez wielu Greków była uważana za najgłębszą więź międzyludzką, a miłość we wspólnocie – na wzajemnym wspieraniu się i obdarzaniu dobrem” (Klinkowski J., 2019, s. 276). Zwlekanie Jezusa mogło być dla czytelnika niezrozumiałe, a zarazem przyczyniać się do budowania napięcia co do dalszych losów Łazarza. Jezus jednak udaje się do Betanii, aby obudzić przyjaciela, który śpi (por. J 11, 11). Wykorzystane zostaje podwójne znaczenie snu – zarówno jako czynności samej w sobie, jak i śmierci. Podczas gdy uczniowie myślą o pierwszym znaczeniu, Jezusowi chodzi o to drugie.

Zanim Jezus spotka się z żałobnikami, ewangelista udziela informacji o czasie, który upłynął od śmierci Łazarza – nie żyje on już od czterech dni. Jest to ważne z punktu widzenia wyobrażeń żydowskich, według których dusza mogła wrócić do ciała w ciągu trzech dni, tak więc czwarty dzień jest końcem wszelkiej nadziei, a zatem ostatecznej oraz nieodwołalnej śmierci człowieka (Adamiak E., 2010, s. 153).

Marta dowiaduje się, że Jezus przybył do miasta, wybiega i rozpoczyna rozmowę, która wydaje się zarówno oskarżeniem (J 11, 21), jak i wyznaniem wiary w możliwość dokonania cudu przez Jezu-

sa (J 11, 22). Jezus mówi, że Łazarz zmartwychwstanie, co powoduje wyznanie wiary Marty w „zmartwychwstanie w czasie zmartwychwstania w dniu ostatecznym” (J 11, 24). Następuje punkt kulminacyjny ich spotkania – Jezus objawia się jako dawca zmartwychwstania i życia, wykorzystując do tego formułę ἐγώ εἰμι (czyt. ego eimi): „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każ-

dy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki” (J 11, 25n.). Na słowa Jezusa Marta odpowiada aktem wiary skierowanym do Niego. Jej wyznanie można zestawzić z dwoma innymi, które znajdują się w Janowym dziele. Natanael zwraca się do Jezusa następującymi słowami: „Rabbi, Ty jesteś Synem Bożym, Ty jesteś Królem Izraela!” (J 1, 49). Po rozmnożeniu chleba w rozdziale szóstym Piotr zwraca się do Mistrza: „Ty jesteś Świętym Boga” (J 6, 69). W tym zestawieniu widać, że najpełniejsze jest wyznanie wiary Marty, która mówi o Nim jako o Mesjaszu i Synu Bożym (J 11, 27). To właśnie jej wiara stała się wiarą Kościoła, który zaliczył do kanonu ksiąg natchnionych czwartą Ewangelię ukazującą prawdę o Jezusie jako o Mesjaszu i Synu Bożym (por. J 20, 31).

Mario, Nauczyciel tu jest i woła cię

Maria wydaje się raczej bierną uczestniczką wydarzeń. Przebywa w domu i dopiero gdy słyszy słowa siostry, wstaje, by szybko udać się do Jezusa. Takie nagromadzenie czasowników wprowadza wyczuwalny dynamizm, być może spowodowany gniewem Marii połączonym z żalem i smutkiem, że rozmowa Marty z Jezusem nic się nie wskórała. Powtarza więc ona zarzut, mówiąc: „Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł” (J 11, 32). Następnie płacząc, pada mu do stóp – może po prostu brak jej już sił albo próbuje po ludzku „wziąć go na litość”. Jezus też zapłakał, na co Żydzi zareagowali słowami: „Oto jak go miłował!” (J 11, 36). W tym opisie relacji do Łazarza pada już omawiany czasownik φιλέω.

Wskrzeszenie nie jest najważniejsze

Redaktorzy Biblii Tysiąclecia wyd. V obszernemu fragmentowi (J 11, 1–44) nadali śródtytuł Wskrzeszenie Łazarza. Czy jednak to wydarzenie jest najważniejsze? Oczywiście całe opowiadanie zmierza do ważnego cudu, ale to wokół niego stworzono narrację o Marii i Marcie. Historia Łazarza schodzi na drugi plan, staje się niejako tłem, pretekstem dla spotkania Jezusa z dwiema siostrami. Widać to chociażby w proporcjach Ewangelii Jana, gdzie sam opis wskrzeszenia to zaledwie ww. 38–44, a to wskazuje na to, że ewangelista skupił się na historii kobiet. Przywrócenie do życia Łazarza to



ostatni znak Jezusa w tekście Jana i przedstawiony zostaje w podobny sposób, co pierwszy, czyli cud w Kanie Galilejskiej opisany w drugim rozdziale czwartej Ewangelii.

Na weselu w Kanie Maryja informuje Jezusa o braku wina, czemu odpowiada moment powiadomienia Jezusa o chorobie brata przez Marię i Martę. W obu tych wydarzeniach następuje pewne zwłokanie ze strony Jezusa, który w Kanie Galilejskiej pyta Maryję wprost: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto?” (J 2, 4). W kolejnych chwilach następuje akt wiary, w przypadku Maryi wyrażony słowami „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J 2, 5), a przez Martę zmanifestowany w momencie, w którym wyznaje ona: „Wiem, że Bóg da Ci wszystko, o cokolwiek byś prosił Boga” (J 11, 22). W reakcji na te słowa Jezus wydaje sługom polecenia, które nie są bezpośrednio związane z działaniami nadprzyrodzonymi (nie mówi: „Niech woda stanie się winem”/„ożyj”). Poruszony prośbą Jezus każe napełnić stągwie wodą oraz usunąć kamień. Obecni zostają świadkami cudów – woda zamienia się w wino, a Łazarz opuszcza grób o własnych siłach. Oba te zdarzenia budzą wiarę tych, którzy towarzyszyli Jezusowi. Jan komentuje, że na weselu w Kanie Galilejskiej Jezus „objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie” (J 2, 11), a po wskrzeszeniu Łazarza „wielu więc spośród Żydów przybyłych do Marii ujrzawszy to, czego Jezus dokonał, uwierzyło w Niego” (J 11, 45).

M&M

Kobieta zmienną jest. Marta zmienną jest. Jej historia rozpoczyna się od oskarżenia, że spóźnienie Jezusa stało się przyczyną śmierci jej brata, gdyż Mistrz zaniechał przybycia i uzdrowienia, co też podchwycili niektórzy Żydzi (por. J 11, 37). Od po ludzku oczywistego, rozpaczliwego zarzutu Marta przechodzi do kluczowego dla niej samej i całego Kościoła wyznania wiary w Jezusa Mesjasza i Syna Bożego. Maria na początku wydaje się bierna, ponieważ przebywa w domu wraz z Żydami, którzy przeszli pocieszyć żałobników. Jest jednak kobietą czynu, a nie dysput – wstaje, wręcz biegnie i wyrzuca z siebie cały smutek zmieszany z gniewem, a w dwunastym rozdziale będzie tą, która czynem wyzna miłość do Mesjasza, namaszczać go na przyszłą śmierć. Dla Jezusa zużyła ona funt olejku nardowego, czyli ok. 327 g, które było warte 300 denarów, a więc stanowiło niemal roczny dorobek robotnika pracującego na roli. Dwa obrazy impulsywnej Marii i opanowanej Marty nie są sobie przeciwstawne, ale się dopełniają – tak jak wiara uzupełnia się z miłością.



Na zakończenie można zacytować jeden z midraszy: „Kobieta powstała z żebra mężczyzny, nie z jego stóp, by móc ją deptać, ani z jego głowy, by być ważniejszą, ale z boku, by być równą [...] troszkę poniżej niż ramię, by móc ją chronić, i od strony serca, by ją kochać” (Klinkowski J., 2019, s. 113).

źródło: wikimedia.org



źródło: unsplash.com

Dla wiary nie ma starości



Konrad Myszkowski

„Jeśli w aspekcie biologicznym starość jest okresem regresu, to z punktu widzenia duchowego jest czasem rozwoju”. To zdanie jest jednym z kluczowych stwierdzeń dokumentu pt. *Godność i posłannictwo ludzi starszych w Kościele i świecie* opublikowanego przez Papieską Radę ds. Świecików w 1998 roku. Dokument ten miał wprowadzić katolików w rok 1999, obchodzony z inicjatywą ONZ na całym świecie jako poświęcony ludziom starszym – jednak jego przesłanie pozostaje wciąż aktualne i zachęca do refleksji nad rolą osób w podeszłym wieku w Kościele.

Kościół bardzo wiele mówi o młodych. My, młodzi, jesteśmy nazywani solą ziemi i wiąże się z nami wielkie nadzieje na przyszłość Kościoła. Mamy miesięcznik „Adeste”, Światowe Dni Młodzieży, wiele duszpasterstw przeznaczonych specjalnie dla nas, publikacje i dzieła kultury religijnej przystosowane do naszych potrzeb oraz zainteresowań... Możliwości rozwoju duchowego naprawdę nam nie brakuje. Pytanie jednak, czy zastanawiamy się nad tym, że nasza duchowość i rola w Kościele nie zawsze będzie taka sama. I czy umiemy – zamiast lekceważyć przysłowiowe „babcie różańcowe” – zrozumieć je, a przez to uszanować to, co dają Kościołowi ludzie starsi?

Wiosna życia duchowego

Tradycyjna wizja społeczeństwa przedstawia je w analogii do ludzkiego organizmu, w którym każdy z członków ma swoją funkcję, do której jest odpowiednio przystosowany. Obszernie i mądrzej pisał o tym na naszych łamach kolega Antonio Akmadza w tekście o powszechnej służbie wojskowej, do którego lektury skądinąd bardzo zachęcam (por. *Konserwatyzm a powszechna służba wojskowa*, „Adeste” 2019, nr 16). W tym miejscu wspomnę jedynie, że twierdzenie to można zastosować zarówno do roli poszczególnych osób w społeczeństwie, jak i w Kościele, który jest przecież wspólnotą, a więc pewną szczególną społecznością. Każdy z nas ma więc własne miejsce na świecie i w Kościele, a jako katolicy wierzymy, że wszyscy bez wyjątku otrzymaliśmy powołanie. Ale to tylko jedna strona medalu – druga jest taka, że role i miejsca przydzielane poszczególnym grupom wiekowym różnią się od siebie. Że zarówno dzieci, młodzież, osoby dorosłe, jak i osoby starsze mogą nie tylko znaleźć w Kościele swoje miejsce, ale mają wobec niego konkretne powinności. I nawet jeśli jako młodzież czujemy się czasami nieco uprzywilejowani – bo przecież, w porównaniu do innych grup wiekowych, mówi się o nas tak wiele – warto widzieć w Kościele pewną równowagę niezbędną do prawidłowego wzrostu w wierze kolejnych pokoleń.

„Ludzie starsi mają bardzo ważną misję do spełnienia w Kościele. Ich rola jest w nim niezastąpiona. Mają wiele do zaoferowania” – czytamy we wspomnianym już dokumencie Papieskiej Rady ds. Świecików. Na czym ta rola polega? Otóż „Kościół prosi starszych i oczekuje od nich, aby kontynuowali swą pracę apostołską i misyjną, która w ich wieku jest nie tylko możliwa i potrzebna, ale właśnie dzięki temu wiekowi otrzymuje specyficzny i oryginalny wymiar”. Wspomniany oryginalny wymiar wynika z kilku czynników. Po pierwsze i najbardziej oczywiste – z wiekiem przybywa doświadczenia i mądrości. Człowiek starszy, który wiele przeżył, zobaczył, przeczytał i doświadczył, zwyczajnie wie więcej o świecie i życiu. Po drugie – starość to w większości przypadków czas spokojniejszy i mniej zabiegany niż

wcześniejsze etapy życia. Mniejsza liczba obowiązków pozwala znaleźć więcej czasu na rozmyślanie i rozwijanie życia wewnętrznego, a odejście od stresu związanego z pracą czy zabezpieczeniem własnej przyszłości sprzyja zwróceniu się ku sprawom duchowym. Po trzecie – wraz z wiekiem musi się zmieniać punkt widzenia, jego optyka. Oczywiście nie mam takiego doświadczenia, jednak mogę założyć, że człowiek starszy przygląda się własnemu życiu w inny sposób niż ja – osiemnastolatek (z dodatkowymi ośmioma lata-





źródło: unsplash.com

mi stażu). Jednym z czynników wpływających na tę zmianę musi być doświadczenie starzenia się w sensie najbardziej fizycznym – słabnięcia, coraz częstszych wizyt u lekarza, a nieraz niestety chorób i cierpienia. Nie bez znaczenia jest jednak zwyczajny upływ czasu skłaniający do refleksji bardziej nad przebiegiem życia i tym, czy dobrze wypełniło się powołanie, niż nad przyszłością. Wielokrotnie przywo-

ływany dokument przestrzega jednak: „Starość nie jest czasem bezpłodności duchowej ani pustki egzystencjalnej, ale spełnieniem całego życia. Powierzone powołanie należy doprowadzić do końca”.

Szczególny wymiar starości oznacza również wyjątkowe zadania, jakie Kościół stawia przed osobami w podeszłym wieku. Pismo Święte wskazuje wiele przykładów osób starszych, którym Bóg przygotował niezwykle ważne role w swoim zbawczym planie. Należą do nich z pewnością Abraham i Sara, którzy dopiero w starości dali początek Bożemu ludowi. Podobne zadanie otrzymali Zachariasz i Elżbieta – rodzice św. Jana Chrzciciela. Nikodem, najprawdopodobniej starzec lub człowiek w średnim wieku, a więc już niemłody, dostał z kolei zaszczytu pogrzebania ciała Jezusa po Jego śmierci na krzyżu. Pięknym przykładem mądrego przeżywania starości są także Symeon i prorokini Anna, których Najświętsza Rodzina spotkała w świątyni podczas ofiarowania Jezusa Bogu. Wspomniany dokument kwituje powyższe przykłady słowami: „W służbie Ewangelii wiek nie ma znaczenia. Bóg posługuje się tymi, którzy mogliby już odpocząć”.

Wnosić do duchowego skarbca

Dokument Papieskiej Rady ds. Świeckich wskazuje konkretne zadania, poprzez które osoby w podeszłym wieku mogą służyć Kościołowi. Znajdziemy w nim następujące słowa: „Starsi, podobnie jak wszyscy inni członkowie Kościoła, powołani są, by uczestniczyć w misji kapłańskiej, nauczycielskiej i królewskiej Chrystusa. Spełniają tę misję przez przekazywanie innym spuścizny duchowej, głoszenie Ewangelii słowem i czynem, świadectwo wierności Bogu, uczestnictwo w praktykach religijnych, udział w liturgii”. W tekście znajdziemy także propozycje aktywności, którymi mogą wykazać się starsi w służbie wspólnocie Kościoła. Należą do nich m.in. pomoc w utrzymaniu miejsc kultu, praca w komisji duszpasterskiej i finansowej parafii, a także zaangażowanie w różne sektory duszpasterstwa – szczególnie grupy i wspólnoty religijne. Warto przy tym wspomnieć, że starsi mogą zostać również włączeni do grona stałych diakonów, lektorów i akolitów.

Miejszem ich działań może stać się również wolontariat polegający na redagowaniu oraz kolportażu pism katolickich, a także udziale w powstawaniu audycji radiowych i telewizyjnych. Polem ich działalności charytatywnej mogą być także szpitale i hospicja, gdzie potrzeba osób niosących otuchę

cierpiącym. Dzięki swojej postawie oraz zaangażowaniu mają także szansę, by stać się apostołami wobec rówieśników, a także własnych dzieci i wnuków. Cenne będzie również okazywanie przez nich solidarności z niewierzącymi.

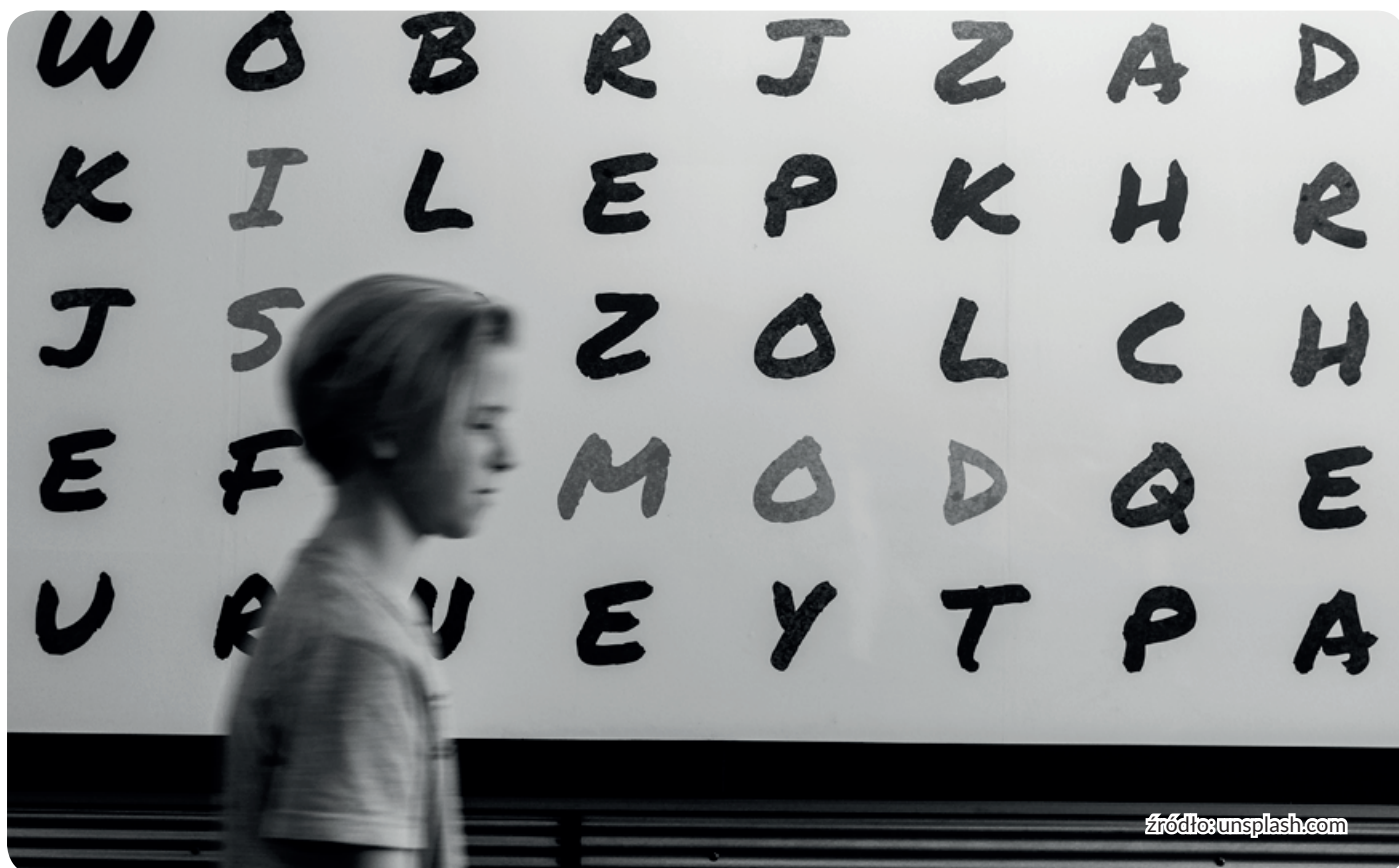
Nie należy zapominać, że poprzez swoje modlitwy i ofiarowanie cierpienia starsi wypełniają duchowy skarbiec, z którego korzysta nie tylko Kościół, ale także ludzkość, a szczególnie nieznaną Chrystusa, na których skupiają się projekty misyjne, niejednokrotnie wspierane poprzez zaangażowanie starszych.

Szczególnie warto zwrócić uwagę na moc modlitwy i cierpienie ofiarowanych Bogu. Cały Kościół – zarówno każdy z nas żyjących na ziemi, jak i dusze cierpiące w czyśćcu – potrzebuje modlitwy. Nie zawsze mamy jednak czas, aby pamiętać o wszystkich ważnych intencjach. W codziennym zabieganiu, wśród licznych obowiązków, wielu z nas, młodych, ma także problem z regularną modlitwą. W niej skupiamy się często na sobie – co jest w pewien sposób naturalne, ponieważ jesteśmy na tym etapie życia, w którym rozeznajemy powołanie, intensywnie nasłuchując głosu Boga. Często ciężko nam więc znaleźć czas na modlitwę za Kościół powszechny, za dusze czyśćcowe, za chorych i samotnych... I właśnie tu znajduje się pole do działania ludzi starszych, których modlitwy wzbogacają – jak to określił dokument Papieskiej Rady ds. Świeckich – „duchowy skarbiec, z którego może korzystać Kościół”.

Wiąże się to także ze statystyką – według niej ludzie starsi są bowiem grupą najbardziej religijną. Różnica ta nie jest co prawda tak wielka, jak chcieliby tego wrogowie Kościoła, ale jednak wyraźna. Według raportu Głównego Urzędu Statystycznego zatytułowanego *Życie religijne w Polsce*. Wyniki Badania spójności społecznej 2018 za „wierzących” lub „głęboko wierzących” uważa się 90,6% osób w wieku powyżej 75 lat (dla porównania jest to 75% w wieku 16–24 lat i 73,5% w wieku 25–34 lat).

Warto spojrzeć również na dane dotyczące uczestnictwa w nabożeństwach, z których wynika, że co najmniej raz w tygodniu robi to 64,2% osób w wieku powyżej 75 lat. Dla porównania, w przedziale wiekowym 16–24 lat wskaźnik ten wynosi 44,4%, a w grupie osób w wieku 25–34 lat jest najniższy, równy 36,1%. Do tej statystyki warto dodać, że wśród osób powyżej 75 roku życia jest stosunkowo najwięcej ludzi obłożnie chorych oraz posiadających problemy z poruszaniem się, co utrudnia – a w wielu przypadkach uniemożliwia – uczestnictwo w nabożeństwach. Wynik byłby zatem niewątpliwie dużo wyższy, gdyby dopisać do niego osoby, które chciałyby uczestniczyć w nabożeństwach, ale nie mogą tego robić z powodów zdrowotnych. Niezależnie jednak od tego modlitwa ludzi starszych jest bardzo ważna i wszyscy powinniśmy się włączyć w prośbę o modlitwę, jaką kieruje wobec nich Kościół.

Święty Jan Paweł II w napisanym w 1999 roku liście do osób w podeszłym wieku stwierdził: „Mimo ograniczeń mego wieku bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć. Dziękuję za to Bogu! Pięknie jest służyć aż do końca sprawie Królestwa Bożego”. My młodzi bardzo nie chcemy zmarnować swojej młodości – pragniemy wycisnąć jak najwięcej z czasu entuzjazmu, świeżości, siły i zdrowia. Pamiętajmy jednak, że kiedyś czeka nas starość. I tego etapu życia też nie wolno nam zmarnować. A tymczasem módlmy się o wytrwałość i siłę dla starszych, oczekując od nich nie tylko jej odwzajemnienia, ale także mądrej rady, przykładu oraz doświadczenia. Pamiętajmy również, że nasze zaangażowanie i siła do walki ze złem płyną często właśnie z różańców tych niepozornych dziadków i babć, których spotykamy w kościołach.



źródło:unsplash.com

Mikołaj Dyźma – drogi młodego poety



Szymon Kozieja

Jakiś czas temu w sieci zadebiutował Mikołaj Dyźma. Jego poezja już na pierwszy rzut oka wyróżnia się wśród internetowej twórczości. Pewien kunszt, który można dostrzec w jego tekstach, prowokuje pytania. Kim jest? Skąd czerpie inspiracje? Co planuje? Postaraliśmy się dowiedzieć u samego źródła – udało się nam to, a nawet więcej – otrzymaliśmy bonus, który umieściliśmy na końcu wywiadu.

S.K.: Szczęść Boże, Mikołaju! Porozmawiajmy dzisiaj o Tobie i Twojej twórczości artystycznej. Powiedz, proszę, naszym czytelnikom, czym się zajmujesz?

M.D.: Szczęść Boże! W moim życiu przewinęło się wiele inicjatyw twórczych, jednak tym, co ma u mnie stałe miejsce, jest poezja. Wiersze wychodzą mi najlepiej, najłatwiej przychodzi mi też ich pisanie. Stąd na tę chwilę niemal się do nich ograniczam. Publikuję je na mojej skromnej stronie na facebooku, mając nadzieję, że z czasem zyska popularność.

S.K.: Właśnie! Zanim trafi się na Twoje wiersze, przechodzi się przez stronę Mikołaja Dyźmy. Już samo nazwisko rodzi sporo pytań. Czy Mikołaj Dyźma to pseudonim artystyczny, pewna kreacja czy Twoja prawdziwa tożsamość? Intryguje też przedwojenna „Gazeta Olsztyńska” w tle. Uchyliłbyś mam rąbka tajemnicy?

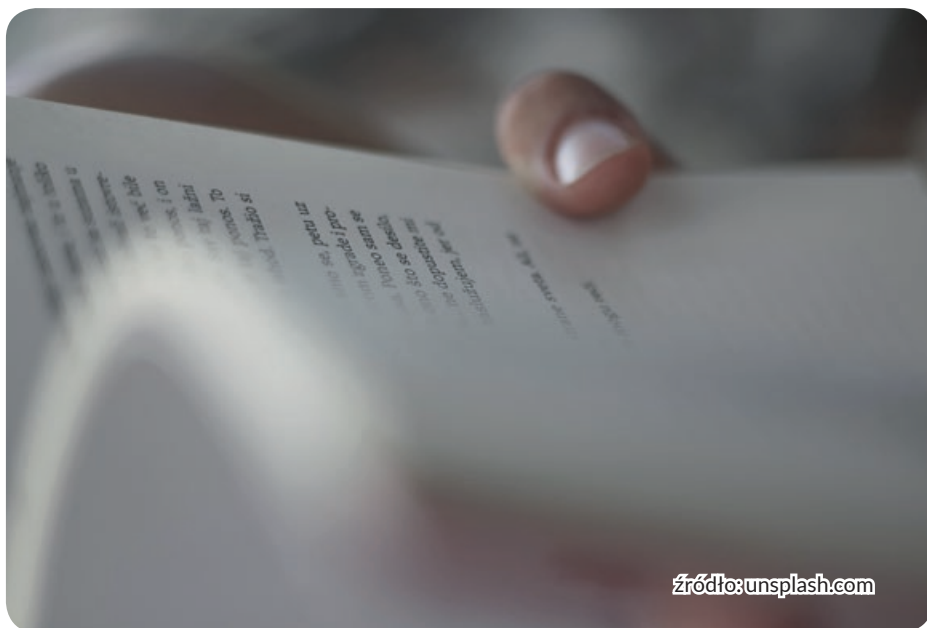
M.D.: Z przyjemnością. Tak, to pseudonim artystyczny, będący nawiązaniem z jednej strony do mojej historii życiowej, a z drugiej do mojego pojmowania siebie. Pierwszy człon, Mikołaj, jest o tyle autentyczny, że rzeczywiście mam tak na imię, ale na drugie. W każdym razie używam go w pseudonimie ze względu na przywiązanie do postaci św. Mikołaja Biskupa. Drugi człon, Dyzma, bierze się z imienia, jakie tradycja przypisuje Dobremu Łotrowi. To bliska mi postać biblijna, bo sam mam za sobą grzeszne życie, które nie od zawsze wypełnione było Bożą łaską i wiarą. To takie moje małe „wyznania”.

Jeśli zaś chodzi o przedwojenny numer „Gazety Olsztyńskiej”, to jego znaczenia można się domyślić dużo łatwiej. Olsztyn, stolica Warmii, to moje rodzinne miasto. Tam się urodziłem i wychowałem. Ten organ prasowy zajmuje ogromnie ważne miejsce w historii naszego miasta i regionu. Jako że kołham moją „małą ojczyznę”, zdecydowałem się na zdjęcie, które wiele wyraża. Pierwsza strona zawiera wyznanie wiary katolickiej, zachętę do obrony wiary i kultury ojców. To zadanie bardzo aktualne. Tak więc jest to ukłon w stronę miejsca, z którego pochodzę, w stronę wartości, które reprezentowało środowisko „Gazety Olsztyńskiej”, jak również samej gazety, która zasługiwałaby na jakąś ciekawą monografię.

S.K.: To już mówi bardzo dużo o duchu poezji, którą tworzysz. I rzeczywiście wszystko, o czym wspominałeś, jest w niej widoczne – katolicyzm, polskość, lokalność. Chciałabym jednak pociągnąć wątek nawrócenia – jak wpłynęło ono na Twoją twórczość? Na którym jego etapie zadebiutowałeś?

M.D.: Właściwie przed nawróceniem moja twórczość dotyczyła w głównej mierze mnie samego. Przynajmniej jeśli mowa o liryce, która wtedy była raczej na drugim miejscu. Dobrze pamiętam w zasadzie jeden wiersz, który był w pewnym sensie lamentem nad sobą samym. Został napisany w czasie, kiedy byłem nieusatysfakcjonowany swoimi osiągnięciami. W każdym razie było to coś skierowanego ku zupełnie innej sferze. Po moim nawróceniu i związanej z nim krótkiej przerwie w twórczości, bo czas poświęcałem wtedy raczej na formację i zgłębianie myśli chrześcijańskiej, znowu wziąłem się za pióro.

Zacząłem od wierszy religijnych, były tam chociażby hymny na cześć Najświętszej Maryi Panny. Jest jednak dobry powód tego, że się nie zachowały – były zwyczajnie niskiej jakości poetyckiej. W każdym razie zawsze byłem osobą zaangażowaną. Nawiązując do słynnego wstępu do *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, zawsze byłem osobą żyjącą życiem zbiorowym i życiem narodu. Twórczość nie



źródło: unsplash.com



mogła w żadnym wypadku być z tego wyabstrahowana. Zaczęłam więc, zgodnie ze swoją naturą, mówić to, co myślę, dawać temu wyraz w poezji. Właściwie w mojej „pisaninie” było i wciąż jest od tamtego momentu, jak to określam, dużo polemiczności. Często przyczynkiem do powstania jakiegoś wiersza jest to, że spotykam się z jakimś stwierdzeniem, którego nie mogę przyjąć, z jakimś stanem rzeczy, który uważam za niewłaściwy.

Moje wiersze zaczęły więc dotyczyć ważnych problemów, rzeczy najbardziej fundamental-

nych – a gdy tak się stało i zyskały one, chyba po prostu dzięki nabyciu wprawy, lepszą wartość literacką, uznałem, że warto je pokazać. Może nie tylko – o ile tak się stanie – zadowolą kogoś formą, ale będą też wyrazem tego, co myślę, tego, czym żyję i jak widzę świat.

S.K.: W Twojej poezji dostrzegam także inne elementy. Widać w niej pewne nasycenie filozofią i motywami z literatury. Skąd czerpiesz inspiracje? Są to jakieś konkretne nurty?

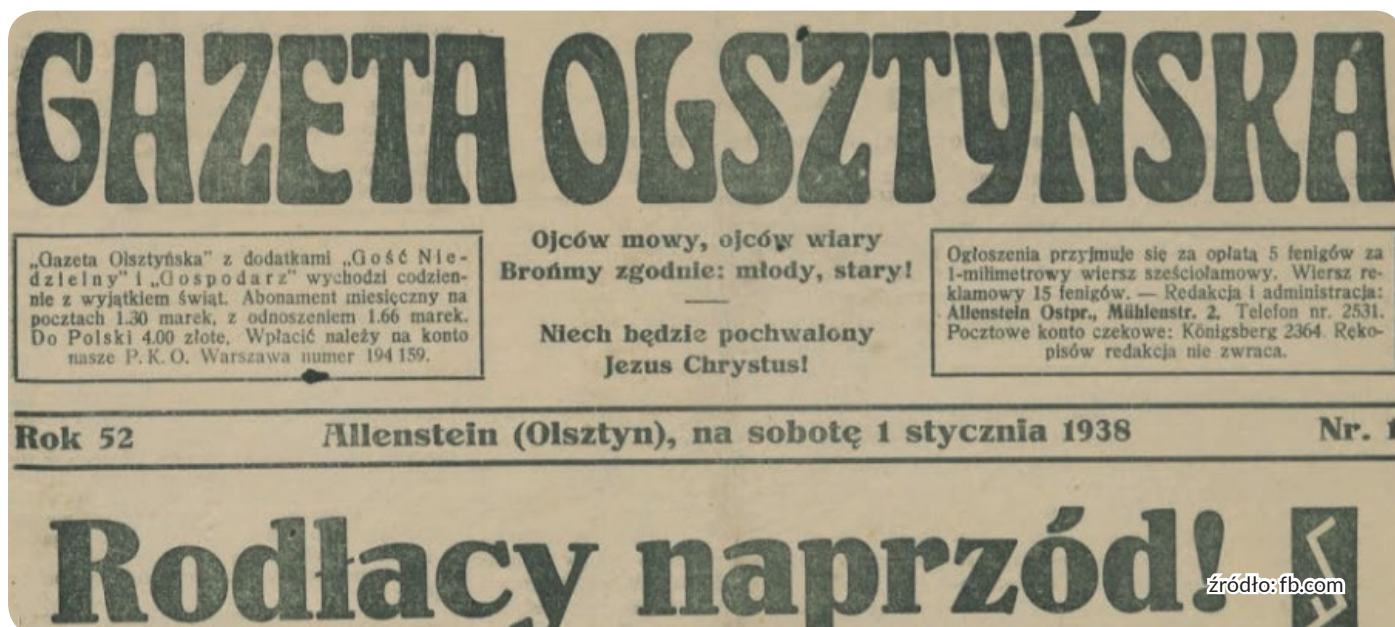
M.D.: Raczej nie. Po prostu odwołuję się do myśli, które już wymyślono, do słów, które już powiedziano. Nie muszę ich powtarzać i opisywać raz jeszcze – tak można by napisać traktat, ale nie wiersz. Trzeba więc odwoływać się do symboli, postaci literackich, które coś wyrażają. Ma to i taką zaletę, że jeżeli czytelnikowi trudno odczytać te postaci, to zachęcam go do poszerzenia wiedzy.

S.K.: W Twoim wierszu *Doskonałość* pojawiają się postacie Solona i Kamila. Kim one są?

M.D.: Solon to ateński reformator starożytny, znany z polepszenia doli prostego ludu. Z kolei Kamil to Krzysztof Kamil Baczyński, jeden z moich ulubionych poetów. Fragment jego wiersza *Rorate Coeli* po parafrazie również umieściłem we wspomnianej *Doskonałości*.

S.K.: Intriguje mnie wiersz *Kopyrda* – jest to niewątpliwie odwołanie do Ferdynarda Gombrowicza. Skąd on się wziął u Ciebie? Czy coś Cię z nim łączy?

M.D.: Tak, Kopyrda to właśnie postać z *Ferdynurke*. Jednak czy coś mnie łączy z Gombrowiczem? Nie! I to żadną miarą. Poza więzami uznania dla jego mistrzostwa literackiego. Kopyrda wziął się u mnie z żarliwej niechęci do jego postaci. Wystarczy przypomnieć sobie, jaki był ów młodzieniec. Obojętny,



niewdający się w spory rówieśników – nowoczesny na taki postmodernistyczny sposób. A Gombrowicz pojawił się głównie jako twórca tej postaci. Ale będzie wracał. Wiele mamy jeszcze do wyjaśnienia sobie z Gombrowiczem.

S.K.: Jak widzę, odrzucasz postmodernizm. Jaką zatem drogą proponujesz? Powrót do klasyki? A może coś nowego?

M.D.: Hm, myślę że jakaś synteza. Każda epoka domaga się czegoś nowego, staje przed nowymi problemami. Grunt to zachować to, co objawione, co stanowiło fundament przez tyle lat i wciąż w obliczu dzisiejszych wyzwań weryfikuje się jako dobry fundament, na którym można budować i człowieka, i kulturę – czyli wiarę i zasady, które niesie ona za sobą.

Jeśli zaś chodzi o drogi dla sztuki, to widać to wyraźnie w mojej poezji, raczej nie witam nowego z otwartymi ramionami. Ten cały *contemporary art*... Uznaję kreatywność jego twórców, siłę jego przekazu, ale nie ma w nim piękna i zachwyty. Myślę, że to elementy konieczne.

S.K.: Mam nadzieję, że będziesz rozwijał swoją twórczość. A jakie są Twoje plany na przyszłość? Zamierzasz się ujawnić?

M.D.: Dziękuję. Planuję pracować jak najaktywniej. Gdy tylko groźba sesji przestanie wisieć nad mną, powrócę do normalnego trybu pisania. Wciąż będę pisał o tym, co dla mnie ważne, choć zamierzam w najbliższym czasie zwrócić się nieco ku Polsce w mojej twórczości. Współpracuję też z grupą artystyczną znajomych i przygotowujemy wspólnie pewne przedsięwzięcie.

A co dalej? Kto wie? Może dramaty, sklepowe półki, a w końcu i zbiór lektur. To oczywiście mówię humorystycznie, ale wszystko zależy od jakości tego, co będę pisał, i odpowiedzi, jaką dostanę od czytelników. Ale zawsze lubiłem mieć cel przed oczyma, toteż gdzieś w marzeniach w ten sposób mi się on przedstawia.

S.K.: I ostatnie pytanie. Czy poezja ma jeszcze miejsce we współczesnym świecie?

M.D.: Myślę, że ma. Głowa poetów w tym, żeby była tak dobra, żeby miała. Myślę, że gdyby dziś tworzył Lechoń, to byłby on objawieniem. Wiele jest rzeczy, które są niekompatybilne z głównym nurtem, kierunkiem, w którym świat zdąża, a jakoś się trzymają. Myślę, że piękno i poruszanie emocji, jakie poezja oferuje, są zwyczajnie zapisane w człowieku. Choć techno króluje na imprezach, to filharmonie mają jeszcze z czego żyć. Ostatecznie, wajchę zawsze można przestawić, tylko trzeba się do niej dopchać.

S.K.: Dziękuję Ci za wywiad. Z Panem Bogiem!

M.D.: Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję, z Panem Bogiem!



Życie

Mikołaj Dyźma

*Czyliś haftem dziurawym
W którym ścieżyny się gubią jasnej chwili
Ginąc w pomroce czerni godzin,
Szerokich traktach mili?*

*Czyliś jak oko rozszerzone
Jak uniesiona brew –
Łapiący dzień, rolnik plew,
Który chwasty szczęścia żenie
A z mąk swych piecze nic... wspomnienie?*

*Czyliś zamazem rozpędzonym
Na wszystkie ulotne wiatry teraźniejszości?
Z za i przed nieokreślonym,
zgłuszonym wołaniem ku wieczności?
A możesz jak rzemiosło dobra.
Jak stała w złocie praca rąk.
W granitach świata i w serc glinie płodna
Posągiem – co przetrwa próbę – Sąd...*



„Widzę zamiast mężczyzn...”



Marcei Hejwowski

„Nie każdy mężczyzna to świnia... zdarzają się też osły i barany”, czytam na jednym z tysięcy demotów. Mężczyźni są straszni i seksistowscy, mówią feministki w najróżniejszych językach świata. „Jesteś mężczyzną, nie masz prawa wypowiadać się w kwestii aborcji”, usłyszałem w jednej z dyskusji.

Jak to jest, że mężczyźni są tymi złymi? Jak to jest, że zamiast pochwały odpowiedzialnych, opiekuńczych i zdolnych mężów, słyszę o opresyjnym patriarchacie, męskich frustratach i nieudacznikach? O „kulturze gwałtu”? Jak to jest, że męskość w naszej cywilizacji przeżywa taki regres?

Pożytki z bycia doomerem

Znajoma w pracy powiedziała mi kiedyś, że jestem doomerem. Urodziłem się w latach dziewięćdziesiątych, moje pokolenie nie pamięta czasów sprzed komórek, internetu. Nie pamiętamy PRL-u. Wychowaliśmy się we względnie dostatnich warunkach. Depresja? To norma. Ucieczka w używki? Bardzo kuszące. Życie jak rodzice przykazali – skończenie studiów, znalezienie stałej pracy, mieszkania, żony i zestarzenie się? Hm... nie ma mowy.

Szeroki dostęp do informacji, przytłoczenie groźbą globalnej katastrofy – nieważne, czy ekologicznej, wojennej, czy technologicznej – poczucie bezsensu podejmowania działania. To wszystko sprawia, że nihilizm wkrada się do serca.

*Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrzęsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła*

Oda do młodości wybitnego polskiego poety Adama Mickiewicza zdecydowanie nie pasuje do tego pokolenia. Bo my jesteśmy właśnie „bez serc, bez ducha, szkieletów ludy”.

Porzuciwszy optymizm, mogę spojrzeć badawczo na moich współziomków, równych wiekiem (lub podobnych wiekiem) mężczyzn. Co widzę, jaką diagnozę stawiam?

To nie motor, który pruje przed siebie, ale motor, który ciągle się psuje

Mężczyźni niezdolni do stworzenia trwałego związku. Przeorani przez dyktat erotyzmu, zniszczeni przez wielokrotnie oglądaną pornografię. Często nałogowo.

Mówi się, że to alkohol niszczy młodzież – ale to nieprawda, przynajmniej w przypadku płci męskiej. Nie alkoholizm, a pornografizm. Nie wódka na imprezach, ale „piguły”. Tak, narkotyki też nie są rzadkim zjawiskiem, przynajmniej w wielkomiejskiej Warszawie, w której wyrosłem.

Często nie znajdują miejsca w Kościele. Oaza, skauci, neokatechumenat – to raczej nie zatrzymuje ich na długo. Wielu z nich trafia do duszpasterstw tradycyjnych, lecz tam często jest to zaangażowanie

„niedzielne”, „od święta” lub „od internetu”. Zresztą, podobnie jest z tymi z „normalnej” mszy świętej.

Niczym dziwnym nie jest trudność ze znalezieniem sobie miejsca na studiach. Już od dziesięciu lat utrzymuje się trend, że to kobiety częściej uzyskują dyplom. Statystyki pokazują, że w Polsce ponad 60% osób, które kończą studia, to kobiety. Z danych unijnych wynika też, że jedynym etapem studiów, na których więcej jest mężczyzn niż



kobiet, są studia doktoranckie. Mężczyźni mają większy problem z dostosowaniem się do trybu studiów. Częściej też je rzucają albo zmieniają.

Mężczyźni częściej popełniają samobójstwa. Tak, problemy psychiczne są czymś, z czym nierzadko spotykam się w kontaktach z rówieśnikami.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Wielu spośród obecnie i niedawno wchodzących w dorosłość mężczyzn przeżyło traumę rozvodu rodziców. Zaburzony obraz ojca jest często przyczyną problemów z wiarą, z dojrzałym życiem.

Zabrzmiął dzwon podziału

Co widzę – znowu, z perspektywy wielkiego miasta – to rosnący rozrzut światopoglądowy między młodymi mężczyznami a kobietami. Panowie na prawo, panie na lewo.

Wymiotować mi się chce, gdy wszędzie widzę te tęczowe torby – najczęściej właśnie na ramionach młodych kobiet. Tymczasem wśród kolegów coraz częściej słyszę wyrażaną na różny sposób dumę

z bycia „normalnym, heteroseksualnym mężczyzną”.

Na uczelni z tym kontrastem – konserwatywni koledzy i lewicujące koleżanki – spotykałem się bardzo często. Ale zarazem trzeba przyznać, że dziewczyny przyznające się do katolicyzmu są znacznie bardziej zaangażowane. Są praktykujące.

Natomiast wielu z moich męskich znajomych to często agnostycy, „wierzący, niepraktykujący” i chodzący do kościoła, by „zapisać się na listę obecności”, odbębnić niedzielną mszę i jak najszybciej wyjść.

Środowiska ministranckie są coraz mniejsze. Zastępy harcerskie są liczne jak zawsze; jednak

z mojego (niewielkiego, co prawda) styku z harcerstwem wyniosłem wrażenie obojętności wobec wiary. Owszem, skauci uczą się odpowiedzialności i wielu przydatnych umiejętności – ale pierwszy człon hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna” kiepsko funkcjonuje. Ruch Światło-Życie, od lat jedno z głównych duszpasterstw młodzieży, od dawna też cierpi na nadreprezentację niewiast (i chyba dziewczyny też się zgodzą, że nie jest dobrze, gdy chłopaków jest dużo mniej).

Coś się popsuło. „Czas się wywichnął, świat wyszedł z formy”, jak to Szekspir włożył w usta Hamleta.



Dlaczego królowny Disneya potrzebują mężczyzn

Przywołałem w tytule piosenkę z uniwersum Disneya – bo dajże z Mulan. Nie oglądałem, ale *Zrobię z was mężczyzn* znam z wykonania Studia Accantus. To dobra piosenka, pełna pozytywnej werwy. Pamiętam, jak w liceum moja dobra znajoma często podśpiewywała pod nosem „Widzę zamiast mężczyzn mnóstwo bab wśród was”. To było spoko, to bardzo pasowało do jej charakteru. K. (tak ją nazwijmy) nie lubiła wulgarności swoich kolegów. Ceniła szarmanckość, przystojność, dojrzałość i inteligencję.

„Musicie być jak szalona rzeka/ Jak tajfun który rozwała mur/ A równocześnie tak tajemniczy/ Jak księżyc co wygląda tu zza chmur”. Tego właśnie chciała K. u chłopców – męskiej siły i szaleństwa, ale i wysublimowania, głębi charakteru. Myślę, że jej intuicja była dobra.

Potrzebujemy mężczyzn silnych, zdolnych do opieki (czy jak kto woli, obrony) nad słabszymi, a zarazem wysublimowanych, szlachetnych.

Wracając zaś do Disneya, choć nie oglądałem zbyt wiele – nie licząc tych kreskówek z Myszką Miki, Goofym i Kaczorem Donaldem, które miałem jeszcze na kasetach VHS – istnieje pewien ciekawy aspekt disneyowskich baśni. Mocny i częsty jest ten motyw – kobieta, którą ratuje książę na białym koniu. Koń nie musi być biały, nie musi być koniem, książę zaś nie musi być księciem – ale jakaś reguła w tym jest. Choć niekiedy (a nawet często) niewiasty z Disneya są dzielne i mają wiele do powiedzenia, to jednak kluczowy jest jakiś mężczyzna. Nie licząc *Frozen* (obejrzałem onegdaj, żeby dowiedzieć się, o co chodzi z tym „lodem w lecie”).

Dlaczego? Bo tak po prostu jest. Kobiety potrzebują mężczyzn, a oni – kobiet.

„Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam. Uczyńmy mu zatem odpowiednią pomoc” (Rdz 2,18). Ten fragment redukuje się często do: „to jest pochwała małżeństwa”. Tymczasem jest to głęboka, egzystencjalna prawda – istotna jest ta druga płeć. Przecież nie wszystkie kobiety to nasze żony – w wielu przypadkach żadne – ale są jeszcze matki, siostry, babcie... Są kobiety ważne w naszym życiu, które spotykamy w różnych sytuacjach życiowych.

Poznanie K. zmieniło mnie, odcisnęło na mnie piętno, ubogaciło. No i dobrze (jeśli to czytasz, droga K., to pozdrawiam, jak zawsze :-)). O to chodzi.

„I co ciekawe, to właśnie przypadkowe spotkania wpływają na nasze życie”.



źródło: yt.com

Manners maketh man

Biskupowi z XIV wieku, Wilhelmowi z Wykeham, przypisuje się powiedzenie „maniery czynią męża”.

Męskość mierzy się nie fizycznymi wyznacznikami, ale postępowaniem. Czy mężczyzna jest odpowiedzialny, szlachetny i intrygujący? A może jest niemęski, szuka tylko zaspokojenia swojej próżności i seksualnych potrzeb, „skacząc z kwiatka na kwiatek”? Czy każdego dnia klęczy przed Bogiem, szukając Jego woli? Czy może, wierząc nawet, działa, jakby Boga nie było? Czy odwleka spowiedź, „bo to i tak nie pomoże”, odcinając się od zbawiennej Komunii Świętej? Czy może z cierpliwością i wytrwałością zmienia się drobnymi krokami? Czy jest człowiekiem umiejącym się zachować w towarzystwie i dobrze czującym się ze sobą w samotności? Czy może jego towarzyskość jest „pozerstwem”, bowiem nie ma nic do zaoferowania? Czy może zapewnia o swoim pragnieniu bycia z drugą osobą, a nie jest w stanie być nawet ze sobą samym?

Można mnożyć i mnożyć takie pytania. Sprowadzają się one do jednego: czy jesteś mężczyzną szlachetnym, mającym coś świata do zaoferowania? Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, to czas to zmienić. Praca nad sobą, rozwijanie swojego umysłu, pogłębianie wiedzy, zdobywanie umiejętności oraz modlitwa. Każdego dnia. Na spokojnie; jesteś groźniejszy, niż by się mogło wydawać i zbyt szybkie reformowanie może ci się nie spodobać. Nikt nie lubi rewolucji.

Księżyc, co wygląda tu zza chmur

Tak bym to widział. Potrzebujemy mężczyzn, a nie Don Juanów i „przegrywów”. Szlachetnych, wysublimowanych, będących wzorem dla młodszych – takich nam potrzeba. Nie zatrzymamy tej katastrofy, która już nastąpiła. Dewastacja męskości to fakt. Czego nie zrealizował komunizm, tego dokonuje pornografizm i utrata wyższych pragnień, dążenia, by dawać coś wartościowego.

Uznajmy, że sytuacja jest tragiczna. Pora zacząć ją naprawiać. Zbudujmy coś, zamiast cementować ruiny. Przodkowie zostawili nam tak wiele; niech po nas zostanie zaczątek nowej cywilizacji.

Cywilizacji, która zrodzi się w naszych sercach.



źródło: unsplash.com

a⁺



źródło: unsplash.com

Nie lubię ideologii, nic na to nie poradzę – wersja dla kobiet



Marcin Worek

Ideologie nie są złe przez poszczególne pomysły, które oferują. Bo to nie chodzi o to, że liberalizm proponuje wolność, a konserwatyzm ostrożność. To nie o partykuły się tu rozchodzi, ale o całokształt. Konkretnie o absurd, do jakiego prowadzi przyjmowanie jednego zbioru idei jako metody przewodniej w życiu.

Zawsze przyklepamy sobie samym jakąś łatkę. Jedni identyfikują się bardziej z ideami wolnościowymi, inni reakcyjnymi, zorientowanymi na wzmacnianie jednolitego porządku społecznego. Nie jest to jeszcze nic strasznego. Problem pojawia się dopiero wówczas, kiedy dochodzi do absolutyzacji jednej idei do tego stopnia, że wszystko, co w świecie do niej nie pasuje, musi być zmienione.

Ile razy to już słyszały nasze żony, siostry, matki, babcie, koleżanki, że powinny być takie a takie. A ta jest za mało kobieca, a ta za mało akcentuje swoją urodę, a ta nie używa makijażu, a ta ręk nie goli, a ta spodnie nosi, a ta ma krótkie włosy, bo długich nie lubi. Znalazłoby się jeszcze kilka innych „obyczajówek”, do których zwolennicy oglądania świata w bieli i czerni (albo w zerach i jedynkach, jak kto woli) radzi byliby przyłożyć swe ręce.

Koniec końców są to po prostu sposoby wciskania ludzi w swoją własną wizję świata, bez patrzenia na to, jacy ci ludzie (jak i świat) tak naprawdę są. Warto byłoby więc przyjrzeć się, jak to wygląda po zebraniu w jedną, dłuższą kompilację.



źródło: unsplash.com

Konserwatyzm to...

...taka ideologia, którą podsumowałbym jednym stwierdzeniem: ostrożność motywowana afirmacją zastanego porządku społecznego, religijnego i politycznego. Generalnie to jest bardzo dobry pomysł, bo proces adaptacji społeczeństw do zmieniających się warunków zwykle trochę trwa. Potrzebne są więc okresy przejściowe, które pozwolą na bardziej płynne, kontrolowane przemiany obyczajowości. A czasami konserwatyzm po prostu służy obronie w ogóle jakiegokolwiek obyczajowości.

Bywa jednak, że takie podejście kończy jako reakcjonizm. Niczym z rogu obfitości wylewa się wtedy zaściankowość, upodabnianie do bezsensownych konwenansów, wrogość wobec inności, zatwardziałość, nieczułość.

Zatwardziałość i nieczułość najwyraźniej widać przy okazji sporu o aborcję. Kobieta jako człowiek schodzi w tym wszystkim gdzieś tam na dalszy plan. Absolutyzacja poczucia sprawiedliwości i porządku zostaje wywindowana do takiego poziomu, że zanika miłosierdzie potrzebne do zrozumienia dramatu ludzkiego.

Nie chodzi o to, by nie piętnować grzechu. Jasne. Piętnować. Nazywać rzeczy po imieniu, aborcja to morderstwo. Ale „opcja konserwatywna” nigdy, pomimo najszczerzych intencji, nie będzie w stanie zmienić podejścia zwolenników pro-choice, jeśli jedyną metodą jej pracy będzie atak i apologetyka.

Tu wygrasz zdrowym rozsądkiem

Mierzi mnie też jako osobę żonată, gdy raz na jakiś czas zdarzy mi się napotkać całe poradniki nt. tego, jak kobieta powinna służyć, a mężczyzna musi być wręcz ostentacyjnie „głową rodziny”. Po pierwsze – to jest próba powrotu do antyfeministycznej reakcji wczesnego XX wieku. Po drugie – używanie anachronizmów, nawet w dobrej wierze, jest kontrproduktywne. A po trzecie – życie małżeństwa

nie wygląda tak, jak sugerują to konserwatywne broszurki. Nikt nawet nie myśli o jakimś służeniu, poświęceniu i tym podobnych rzeczach. Po prostu rzeczy się robi i tyle, razem czy osobno. Masz do wykonania pulę obowiązków i musicie to zrobić oboje, bo będziecie chodzić głodni, w cuchnących ubraniach i zakurzonego domu.

Według niektórych żona jako kobieta ma się podporządkować mężowi. Ale... tak właściwie w czym? W posiadaniu dzieci? W kwestii zawodu? Jakichś

bardziej prozaicznych sprawach? Jedność małżeńska nie polega na tym, że żona w imię utrzymania „monarchii męża” będzie poświęcać siebie samą. To jest prędzej droga do szybkiego rozkładu życia małżeńskiego.

Jedność będzie polegać na tym, że oboje zrobią wszystko, byle tylko się porozumieć w atmosferze miłości i szacunku. To się może wiązać niekiedy nawet i z czasowym zawieszeniem sądu. Nie wszystko da się rozwiązać od razu. Do niektórych kwestii oboje małżonkowie muszą dojrzeć. Stąd i żona, i mąż muszą nawzajem pielęgnować swoją relację, często w oparach niepewności i trudu egzystencjalnego. Krótko mówiąc: „Witamy w dorosłym życiu! Tu idealizm nie działa”.

Konserwatysta by się obraził

Kontynuując ten wątek, nawiążę jeszcze do zaściankowości. Polacy są zaściankowi. To nie jest nic odkrywczego. Na końcu filmu *Er ist wieder da* padły słowa mówiące o tym, że każdy Niemiec ma swojego własnego wewnętrznego Hitlera. Chodziło o tę złą część siebie, kontrolującą, ideologiczną, chcącą rozwiązywać problemy, można powiedzieć, na strzał. To jest ten niemiecki kompleks Hitlera. Oni już nie są tacy jak wtedy, ale mają w pamięci, że to nie było wcale tak dawno i szaleńcy podobni jemu zawsze mogą się przytrafić.

Powiedziałbym, że Polacy natomiast mają w sobie takiego swojego wewnętrznego Janusza i Grażynę. Wszystko nam się nie podoba. Kobiety też. Chłopak wziął sobie żonę-chłopczycę. Dziewczę ma krótkie włosy, uprawia sport i gra w gry komputerowe. O pończochach z nią nie pogadasz, do galerii nie pójdziesz. Ku jeszcze większej krwawicy „kato-tradsów”, jego żona za skarby świata nie wdzieje spódnicy, chusty na głowę też nie założy. W rodzinie przestali się dogadywać, a chłopaka męczą sprośnymi żartami, czy ta jego małżonka to na pewno kobieta i czy się przypadkiem nie pomylił.

To jest oczywiście przerysowana sytuacja, ale ona dobrze ilustruje problem. Żadna ideologia nie ma monopolu na idealny wzorzec kobiecości. A to dlatego, że kobietą jest się z racji ukonstytuowania



źródło:unsplash.com

biologicznego. To zaś, co gdzieś tam przypada (jak zachowania, temperament, sposób bycia, zainteresowania), choć może być ujęte w pewną normatywność, to nie należy jej wymuszać jako jedynej słusznej drogi.

Musisz być bardziej wolna, bo jak nie...

Warto zauważyć, że niektórzy chcą sprzedać innym wolność. To znaczy – receptę na wolność. Bo wiem z jakiejś przyczyny ich wizja wolności jest najlepsza. Ta wizja wolności, którą ktoś praktykuje w ramach swojego własnego dyskursu intelektualnego jest zła, bo jest za mało wolna.

Mowa oczywiście o wszelkiej maści liberalizmach. Nie chodzi tu o liberalizm klasyczny w wydaniu J. Locke'a, a zabsolutyzowaną wizję potocznie rozumianego liberalizmu na zasadzie afirmacji wolności własnej jako wartości najwyższej. Na wystawach w sklepach nie brakuje różnorodnych gazet i czasopism o wątpliwej (żeby nie powiedzieć „szmatławej”) jakości. Opisują one – dość monotematycznie, z nakierowaniem na konsumpcjonizm i seksualizację – jak młode i mniej młode kobiety powinny praktykować swoją kobiecość, żeby były kobiece, no i oczywiście wolne.

Przywodzi to na myśl jakiś rodzaj liberalizmu feministycznego. Młode dziewczęta są zalewane różnorodnymi, wykrzywionymi wizjami kobiecości. Tu się umaluj, tam wypudruj, tutaj poszczuj częścią ciała, tam ubierz coś obcisłego. Albo odwrotnie, w ogóle się nie maluj, nie myj się, pofarbij sobie włosy na taki czy inny kolor, obetnij się na łyso. Te wizje kobiecości, choć z pewnością oryginalne i odważne w propozycji (zwłaszcza ta o zaniedbaniu higieny), nie mogą być jakimś wyznacznikiem kobiecości. Dlaczego? Bo to w ogóle nie o to chodzi w byciu kobietą.

Oczywiście nie brakuje też porad odnośnie życia romantycznego. Zastanawiające jednak jest w tym to, że najbardziej opiewana jako dobra i zbawienna jest wizja tzw. kobiety seksualnie wyzwolonej. Czyli zasadniczo robiącej dokładnie to samo, co rozpustny mężczyzna. No ale skoro już usprawiedliwiliśmy wolność mężczyzny do rozpusty, no to chyba teraz czas na kobiety?

Wolność wygląda inaczej

Jak to mówią: „wszystko można, ale nie wszystko się opłaci”. I tak to jest mniej więcej z wolnością. To tylko jeden z wielu aspektów życia ludzkiego i sprowadzenie swojej kobiecości do czegoś, co ma tę wolność i kobiecość dać, jest jakimś nieporozumieniem.

Nie jesteś tylko tym, co nosisz ani co kupujesz, ani jaki makijaż masz na twarzy. Twoja wartość nie jest mierzona w tym,



źródło:unsplash.com



jak dobrze sobie radzisz w łóżku i z jak wieloma mężczyznami. Bo to wszystko nie jest kresem człowieczeństwa, a jedynie małym wycinkiem. Plejada aspektów życia ludzkiego jest ogromna. Można by spędzić całe godziny, pisząc o różnorodnych czynnościach kulturowych, społecznych, artystycznych, prozaicznych, jakie wykonujemy. I nadal byśmy człowieka nie wyczerpali.

Paradoks całego wyzwolenia kobiet polega jednak na tym, że pomimo wszechobecnej krytyki seksualizacji promuje się

rozwiązłość jako sposób na praktykowanie wolności. Niestety, ale nie umocnisz ani nie zmanifestujesz swojej kobiecości wolnością ukutą przez ludzi, którzy chcą ci coś sprzedać lub cię kontrolować. Lub jedno i drugie na raz, jak sugeruje dr M. Jones w *Libido Dominandi*.

Jak porzucić wpływ ideologii?

Problem w tym, że dość ciężko przychodzi nam odejście od mentalności ideologicznej. Cały XX wiek zmagaliśmy się z praktycznymi skutkami zideologizowania życia ludzkiego. Pod koniec XX i teraz w XXI wieku, gdy ognie ideologii ucichły, my nadal stykamy się z identycznymi schematami.

Oczywiście, najłatwiej byłoby teraz rzucić: „nauczmy się wszyscy filozofii, to nie będzie ideologii”. Ale bądźmy realistami. Nie chodzi o to, by oderwać się od potocznego życia i zawisnąć z głową w chmurach pełnych wzniosłych, acz realnych idei.

Na początek wystarczy odrobina zdrowego rozsądku i sceptycznego podejścia do oferowanych przez świat rzeczy. Czy aby na pewno nowa torebka uczyni mnie bardziej kobiecą? Albo udział w marszu proaborcyjnym? Czy będę bardziej kobieca, gdy więcej mężczyzn doceni moje walory cielesne? Czy będę bardziej kobieca, jeśli bezmyślnie będę poddawać się mężczyźnie?

Mąż kochający swą żonę-chłopczycę będzie w niej dostrzegał kobiecość i urok, jakich nikt inny nie dostrzeże. A to dlatego, że bycie kobietą sprowadza się do bycia człowiekiem. Tu nie chodzi o fikuśne stroje, jakieś podręcznikowe zachowania, rozseksualizowanie, ubóstwienie wolności, uległość. Wszystkie te ideologicznie absolutyzowane cechy są tylko pewnymi wizjami, myśleniem życzeniowym. Piękno życia osobowego zaś polega na tym, że, będąc sprzęgnięte z intelektem odczytującym rzeczywistość, jest nieprzewidywalne. Przez to jest też niezmiernie bogate.



źródło:unsplash.com

Patron na dzisiejsze czasy



Dawid Pindel

Przybrany ojciec Jezusa, który nie wypowiada żadnego słowa w Ewangelii. Przeczysty małżonek Przenajświętszej Dziewicy, patron Kościoła powszechnego, który swoje święto obchodzi 19 marca. Święty Józef, bo o nim mowa, to patron na dzisiejsze czasy, a przede wszystkim wzór dla mężczyzn na drodze dorastania do ojcostwa i prawdziwej dojrzałości.

Św. Józef zajmuje ważne miejsce, skoro w kalendarzu liturgicznym jego wspomnienie zaliczane jest do uroczystości, a od 1969 roku przypada ono na czas Wielkiego Postu. Święty ten, choć według ciała nie był ojcem Jezusa Chrystusa, został pełnoprawnym małżonkiem Maryi (por. Zalejski W., *Święci na każdy dzień*, 1998).

Kim był Józef?

O samym życiu Józefa nie znajdujemy wiele informacji w Piśmie Świętym. Ewangelisci wspominają go tylko czternaście razy, szczególnie w kontekście życia Jezusa i Maryi. Więcej wiemy z apokryfów, takich jak *Protoewangelia Jakuba*, *Ewangelia Pseudo-Mateusza*, *Ewangelia Narodzin Maryi*, *Ewangelia Tomasza*, *Historia Józefa Cieśli*. Niestety teksty te czasami opisują św. Józefa na sposób bajkowy, wręcz fantastyczny, jako człowieka nie z tego świata, przez co nie nadają się do tego, by czerpać z nich rzetelne wiadomości o świętym (por. *Święty Józef - jaki był?* [w:] pch24.pl).

Przyjrzyjmy się pokrótce tym fragmentom z Pisma Świętego opisującym św. Józefa. Po raz pierwszy stykamy się z nim w Ewangelii według św. Mateusza, podczas opisu genealogii Jezusa. Ewangelista zaznaczył tam jedynie, że Józef był synem Jakuba i mężem Maryi, „z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem” (Mt 1, 16). Dalej Ewangelie Łukasza i Mateusza ukazują nam Józefa podczas narodzin Syna Bożego. Tutaj święty przedstawiony jest jako wrażliwy mężczyzna, który nie chce narazić Maryi na zniesławienie, lecz zamierza ją potajemnie oddalić.

Jak pisze Jan Paweł II w adhortacji *Redemptoris Custos*: „Józef nie wiedział, jak ma się zachować wobec »cudownego« macierzyństwa Maryi. Szukał zapewne odpowiedzi na to dręczące go pytanie, ale nade wszystko szukał wyjścia z tej trudnej dla siebie sytuacji” (I, 3). Dopiero gdy sam Bóg interweniuje przez anioła i tłumaczy Józefowi, że Dziecko, które poczęto się w Maryi, jest z Ducha Świętego, mężczyzna daje wiarę Jego słowom i posłusznie czyni to, co zostało mu polecane. I jak mówił Ojciec Święty Franciszek w swojej homilii: „Józef przeżywał wewnętrzną walkę. Podczas tej walki [usłyszał] głos Boga: »Wstań« – to »wstań«, [które pojawia się] w Biblii wiele razy na początku złezonej misji – »Wstań, weź Maryję, wprowadź Ją do swojego domu. Podejmij tę sytuację: weź tę sprawę w swoje ręce i idź dalej«. Józef nie poszedł do przyjaciół, aby u nich szukać pociechy, nie poszedł do psychiatry, aby wyjaśnić jego sen... nie: on uwierzył. I poszedł dalej. Wziął sprawę w swoje ręce. Co Józef miał wziąć w swoje ręce? Co to była za sytuacja? Co miał podjąć? Dwie sprawy: ojcostwo i tajemnica” (*Człowiek, który przyjmuje ojcostwo* [w:] *opoka.org.pl*). Który mężczyzna dzisiaj zgodziłby się z chęcią na zostanie mężem–niemężem (żyjącym w białym małżeństwie) i ojcem–nieojcem (wychowującym nieswoje dziecko)?

W postawie Józefa uwidacznia się praca nad sobą, prawdziwe męstwo i odpowiedzialna zgoda na Boży plan. Musiał jednak do takiej decyzji dojrzeć powoli. Był on przecież zwykłym człowiekiem z krwi i kości, a nie malowanym świętym. Odczuwał strach tak samo jak my. Targały nim wątpliwości, nie wiedział, co będzie dalej i zapewne czuł w środku, że nie jest gotowy na tak wielkie wyzwania. Być może nawet klękał przed Bogiem i pytał ze łzami w oczach: „Dlaczego ja? Czy nadaję się na ojca Syna Bożego i małżonka Maryi?”. (*Święty Józef – milczący mężczyzna. Kim był ziemski ojciec Jezusa?* [w:] *plus.gazetawroclawska.pl*).

Józef jako ojciec poświęcił dla dziecka wszystko – bliskość ukochanej kobiety, własny plan na życie i pragnienie biologicznego ojcostwa. Nie spodziewał się pewnie, że jego spokojne życie w Nazarecie i prawdopodobnie praca cieśli (por. Mt 13, 55) przerodzą się wkrótce w historię, która zmieni bieg świata. Jak pisał św. Justyn w II w., Józef wykonywał jarzma



źródło: unsplash.com



na woły i drewniane sochy, a więc przygotowywał prozaiczne narzędzia gospodarcze i rolnicze – decyzja o podjęciu ryzyka włączyła jednak jego proste życie w niezwyklej plan odkupienia ludzkości.

Jako małżonek Przenajświętszej Dziewicy dodawał jej otuchy. Pukając od gospody do gospody w bezskutecznym poszukiwaniu miejsca na nocleg, nie załamywał rąk. Nie narzekał też, gdy widział, jak Maryja rodzi Jezusa w otoczeniu zwierząt. Nie poddawał się, gdy Herod rozpoczął rzeź chłopców, za to czytamy, że „anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł:

»Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia, aby Je zgładzić«. On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; tam pozostał aż do śmierci Heroda” (Mt 2, 13–15).

Stanął na wysokości zadania. Jako opiekun Jezusa zapewne cieszył się nim tak, jak robiłby to biologiczny ojciec – przykładowo kiedy Jezus stawiał pierwsze kroki na tej ziemi. Z pewnością uczył Go także swojego rzemiosła (por. Mk 6, 3). Wychowywał Go tak, jak potrafił, a Jezus wzrastał w łasce i mądrości u Boga i ludzi (por. Łk 2, 52).

To właśnie Józef wprowadzał Jezusa w tajniki Tory, bo w judaizmie religijna edukacja synów zwyczajowo przypada ojcu. Ojciec celebrował główne uroczystości religijne, w których zawsze ważny jest aspekt rodzinny. Również Józef, tak jak ojcowie innych rodzin, musiał każdej soboty przyprowadzać Jezusa do synagogi, wpajając mu ten typowy dla praktykującego Żyda obyczaj – czytamy o tym w Ewangelii św. Łukasza (*Święci na każdy dzień*, 2009, t. 1, s. 101).

Józef umarł, nie wypowiadając ani jednego słowa w Piśmie Świętym. Ewangelie też nie podają szczegółów jego śmierci. Na weselu w Kanie Galilejskiej nie ma o nim już mowy, więc prawdopodobnie w tamtym okresie już nie żył. Interesująca w tym temacie jest *Protoewangelia Jakuba*, która opisuje legendę o św. Józefie Cieśli. Według niej Józef dożył stu jedenastu lat: „A śmierć przyszła na niego w sto jedenastym roku życia, gdzie ani jeden ząb nie był zepsuty w jego ustach, ani jego oczy nie były ociemniałe, lecz jego zdolność widzenia była taka jak małego dziecka. Nigdy nie był słaby, lecz nadal pracował w zawodzie ciesielskim do dnia, kiedy położył się złożony chorobą, na którą miał umrzeć”. Święty Józef w pewien sposób zyskał przewagę nad swoim biblijnym imiennikiem, Józefem egipskim z Starego Testamentu, który żył sto dziesięć lat (por. Rdz 50, 26). Ponadto długość życia była uważana za znak Bożego błogosławieństwa i świętości (por. Biel S., *Mężczyźni*, 2016, s. 43-46).

Św. Józef w liturgii

Do liturgii jego święto zostało wprowadzone dopiero w 1479 roku przez papieża Sykstusa IV. Od roku 1621 dzień 19 marca jest świętem obowiązującym. Pius IX w 1870 r. ogłosił Józefa patronem całego Kościoła, a Pius XII w 1955 r. wyznaczył dzień 1 maja na jego święto i ustanowił go patronem robotników. Świętego Józefa uważa się za opiekuna chrześcijańskich małżeństw, rodzin, a także patrona dobrej śmierci. Wiele krajów obróło sobie św. Józefa za patrona – m.in. Kanada, Czechy, Austria, Hiszpania, Portugalia (por. Zaleski W., *Święci na każdy dzień*, 2001, s. 159). Warto dodać, że z upoważnienia papieża Franciszka Kongregacja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów włączyła imię Józefa jako Oblubieńca Najświętszej Maryi Panny do drugiej, trzeciej i czwartej Modlitwy Eucharystycznej (por. *Imię św. Józefa w modlitwie Eucharystycznej* [w:] *naszdziennik.pl*).



źródło: unsplash.com

Kult na świecie

Początki kultu św. Józefa sięgają IV w. na Wschodzie, a VIII w. na Zachodzie (por. Zaleski W., *Święci na każdy dzień*, s. 159). W średniowieczu do jego rozwoju przyczyniali się różni święci, w tym wielka czcicielka Józefa, św. Teresa z Ávila. Ta reformatorka Karmelu twierdziła, że o cokolwiek prosiła Boga za przyczyną św. Józefa, to otrzymywała. Tak o nim zresztą pisała: „I obrałam sobie za adwokata i patrona chwalebnego świętego Józefa i gorąco mu się polecałam [...]. Jest to zdumiewające, jak wielkich darów udzielił mi Bóg za pośrednictwem tego błogosławionego Świętego, z jakich niebezpieczeństw mnie wyzwolił, zarówno ciała, jak i duszy”. Dalej święta z Ávila pisze: „Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by prawdziwie miał do niego nabożeństwo i szczególną mu cześć oddawał i nie osiągnął coraz większych korzyści w cnocie, bo on w sposób dziwnie skuteczny wspomaga każdą duszę, która się mu poleca. Od wielu już lat, o ile pamiętam, co roku w dzień święta jego proszę go o jakąś łaskę i zawsze ją otrzymuje, a jeśli prośba moja jest w czym niewłaściwa, on zawsze sprostuje dla większego dobra mego. Gdybym miała upoważnienie ku temu, chętnie opisałabym tu z wszystkimi łaski przez tego chwalebnego Świętego mnie i innym uczynione [...]. Proszę tylko dla miłości Boga każdego, kto by mi nie wierzył, niech spróbuje, a z własnego doświadczenia przekona się, jak dobra i pożyteczna to rzecz, polecać się temu chwalebnemu Patriarsze i go czcić” (św. Teresa z Ávila, *Księga mojego życia*, 2010).



Kult w Polsce

Kult św. Józefa w Polsce rozpoczął się w na przełomie wieków XI i XII. W tamtym okresie w Krakowie obchodzono jego święto 19 marca. Największy rozkwit nabożeństwa do św. Józefa przypadł na wieki XVII i XVIII, kiedy osiedlili się w Polsce karmelici bosy oraz siostry wizytki.

Duchowe centrum kultu św. Józefa w Polsce od samego początku znajduje się w najstarszym polskim mieście –

Kaliszu. Tam święty od wieków czczony jest w obrazie Świętej Rodziny, który w 1770 r. został uznany przez komisję prymasowską za cudowny, a w 1796 roku ukoronowany koronami papieskimi. To tutaj w 1353 r. wzniesiono gotycką świątynię. Obraz, jak podaje tradycja, ufundował w 1670 r. uzdrowiony za wstawiennictwem św. Józefa mieszkaniec miejscowości Solec (dziś Szulec). Namalowano go według wskazań przekazanych w widzeniu przez samego świętego, a przedstawia on Józefa, Maryję i Jezusa. Wtedy to po raz pierwszy nałożono koronę na głowę św. Józefa.

Od wielu już pokoleń polscy pątnicy przybywają do św. Józefa Kaliskiego, aby powierzać mu siebie i swoje sprawy.

Najstarszym jednak kościołem pw. św. Józefa jest poznański kościół oo. karmelitów bosych. Wzniesiono go na Wzgórzu św. Wojciecha w latach 1618–1621 i został pierwszą świątynią w Polsce, której patronuje św. Józef. Burzliwe dzieje zakonu w stolicy Wielkopolski spowodowały, że w tym miejscu, o czym daje świadectwo spisywana od XVII w. kronika tutejszego konwentu, czczono św. Józefa w wielu kolejno powstających wizerunkach. Ostatni z nich, znajdujący się w ołtarzu głównym, został namalowany w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przez Jerzego Kumalę z Krakowa. Jest to kopia słynącego łaskami obrazu wykonanego w 1668 r. przez flamandzkiego artystę, niejakiego br. Łukasza Charlesa Sibrecque'a OCD mieszkającego w Rzymie, w klasztorze przy kościele Matki Bożej ze Schodów. Święty Józef jest na nim zaprezentowany jako ostatni z patriarchów Starego Testamentu, który nie tylko doczekał spełnienia przepowiedni proroków o Mesjaszu, ale sam stał się przybranym ojcem Chrystusa. Patrząc na jego podobiznę, widzimy mężczyznę w sile wieku – zadumanego, lecz promieniującego dobrocią, troskliwością i szczęściem. Podtrzymuje Jezusa na lewym ramieniu, prawą ręką wskazując na Tego, który jest Drogą, Prawdą i Życiem, czyli na Jezusa Chrystusa Zbawiciela. Mały Jezus trzyma w prawej ręczce rajske jabłko – symbol zbawienia, a w lewej różę – symbol Zbawiciela (por. *Święty na nasze czasy* [w:] opoka.org.pl).

Św. Józef – wzór świętości dla ludzi XXI wieku

Wzór kojarzy się najczęściej z czymś niedoścignionym i niemożliwym do urzeczywistnienia w realnym świecie. Mówi się nawet, że nie ma ludzi idealnych. To prawda. Warto jednak szukać wzorów i próbować brać z nich przykład.

To właśnie święty Józef jest takim wzorem, niestety niedostatecznie eksponowanym. To przede wszystkim normalny człowiek, normalny mąż, normalny ojciec, normalny pracownik... W pełni uosabia on takie cnoty, jak posłuszeństwo wobec Boga, uczciwość, sprawiedliwość, pracowitość, czystość, odpowiedzialność za powierzone Mu losy Maryi oraz Jezusa. Nie bez przyczyny Kościół katolicki uczynił go patronem ojców. To on uczy nas właściwej postawy wobec Boga we współczesnym świecie – męskiego podejścia, męskiego powierzenia się Ojcu niebieskiemu. Postawa Józefa to nie płacz, lament, bezradność i narzekania na swój los, ale wyrażenie zgody na Boży plan, by go wypełnić. To nie wzdychanie, lecz męskie podejmowanie wyzwań „rzucanych” przez Boga. Józef widzi przed sobą zadanie i nie pyta Boga, jak ma je wykonać i czy da radę, lecz po prostu je wypełnia. Myślę, że to może być wskazówka dla nas, by Boże przykazania uważać nie za wielki ciężar, lecz za zadanie, które chcemy wykonać.

Józef uczy nas także odpowiedniej postawy wobec kobiet. Czystości intencji, planów, zamierzeń. Był mężczyzną, miał żonę, a żył jak celibatariusz. Czystość Józefa była z pewnością walką i trudną drogą rezygnacji z samego siebie z miłości. Józef uczy czystego patrzenia na innych, dostrzegania nie tyle ciała, co przede wszystkim duszy i szukania jej dobra.

Józef pokazuje, że ojcem jest nie tylko ten, kto spłodził, lecz ten, kto wychowuje. Biologia to osobna kwestia – najważniejsze jest wychowanie dziecka. Dzisiaj coraz bardziej widzimy ojców, którzy nie chcą lub nie potrafią kształtować młodego człowieka, który będzie gotowy do samodzielnego życia. Zbyt wielu unika odpowiedzialności za powołane przez nich do istnienia życie, które wymaga ich troski i opieki.

Jestem wielce przekonany, że ten, kto głębiej zastanowi się nad życiem św. Józefa, odnajdzie w nim wzór człowieka, który nie jest od razu ideałem, lecz stopniowo, dzień po dniu, buduje swoją pobożność, odpowiedzialność, a przede wszystkim prawdziwą świętość, która niewiele mówi, a wiele czyni (por. *Święty Józef – jaki był?* [w:] pch24.pl).

Zakończenie

Święty Józef nie żyje dla siebie, lecz staje się bezinteresownym, Bożym darem dla innych. Jest o nich zatroskany w sposób heroiczny, wierny i odpowiedzialny. Potrafi kochać w sytuacji zupełnie wyjątkowej i niepowtarzalnej w całej historii ludzkości, dlatego warto wypraszać łaski za jego przyczyną u Boga. Może nam ku temu posłużyć modlitwa z litanii do św. Józefa: „Boże, Ty w niewysłowionej Opatrzności wybrałeś świętego Józefa na Oblubieńca Najświętszej Rodzicielki Twojego Syna, spraw, abyśmy oddając Mu na ziemi cześć jako Opiekunowi, zasłużyli na jego orędownictwo w niebie. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”.



Listy Pielgrzyma – wpis szósty



Tomasz Leszczyński

Warszawa, 16.12.2019

„Tylko Tobie pragnę służyć, Panie”

To mój ostatni list do Ciebie, drogi Czytelniku. Przez cały okres, w którym nie pojawiały się wiadomości, pracowałem nad sobą.

Trudny czas sprawił, że zacząłem gubić swoją duchową tożsamość, a przez to samego siebie. Do-myślałem się, że czytając moje wpisy i uczestnicząc ze mną w tej podróży przez różne, nieraz bardzo ciężkie sytuacje, mogłeś poczuć, że piszę także o Tobie.

Jeżeli tak było, zadam Ci ważne pytanie:

Czy potrafiłeś się utożsamić z moimi rozterkami?

Zadaję pytanie retoryczne. Nie musisz mi odpowiadać – odpowiedz na nie w swoim sercu.

To właśnie pytanie staje się jednak ważne w kontekście dzisiejszego tematu. Służba Bogu jest ele-

mentem życia duchowego każdego chrześcijanina. Moje rozterki powodowały, że czułem się rozdarty między dwoma bytami – Bogiem i słabością. Tę drugą określiłem mianem „bytu”, ponieważ stanowi ona część mnie, mojego życia.

Przez nią czasem nie byłem w stanie wypełniać powierzonej mi misji i służyć Panu, a dotyczyło to nawet najdrobniejszych rzeczy.

Nie można służyć dwóm panom, tak powiedział Chrystus, prawda?

W tym „szaleństwie” jest jednak metoda – wytrwała praca. *Ora et labora*. Ta maksyma powinna towarzyszyć nam zawsze. To bardzo, bardzo łatwe do powiedzenia, ale za to trudne do wykonania. Ciężko jest wypełniać dzień nie tylko pracą, ale również modlitwą. Zastanów się więc – czy jesteś w stanie zarówno pracować, jak i modlić się?

Przez ostatnie dwa lata najczęściej okazywało się to dla mnie niemożliwe w praktyce. Dziś modłę się w miejscu pracy, a także w domu przed posiłkiem. Staram się to robić w ciągu dnia, pracując (choćby przez muzykę). Mogę też podzielić się pewnym świadectwem. Pewna osoba, której imienia nie chciałbym wymieniać, lecz jest dla mnie najważniejsza, poprzez swoją postawę nauczyła mnie każdą sytuację powierzać Bogu. Dosłownie każdą. I tu rodzi się kolejne, a zarazem ostatnie pytanie:

Czy swoją postawą jestem w stanie przybliżyć ludziom Boga?

Sądzę, że mimo trudności odpowiedź będzie pozytywna. Nawet jeśli sądzisz, że nie – to uwierz, że jest w Tobie wiele Bożej miłości. A ona, przez posłużenie się Tobą w „przypadkowych”, zdawałoby się, momentach, ukaże się Tobie oraz innym.

Nawet w najmniejszych rzeczach możesz Mu służyć – i to nie w formie poddaństwa. Nie jako niewolnik, a Jego ukochane dziecko, które On obdarza siłą.

Kochaj. Pamiętając, że jesteś kochany przez Boga.

Mimo trudności, bólu i ciężaru, który niesiesz przez życie – powiedz sobie: „Jestem Bożym dzieckiem. Jestem cudem”.

Nie zapominaj o tym!

Pozdrawiam i błogosławię
Pielgrzym